

Promotorzy czytel- nictwa

Kto rozbudzi u młodego adepta zamiłowanie do książki, kto jest „ojcem czy matką chrzestną” młodego, początkującego czytelnika, kto skieruje jego uwagę na bogactwo myśli zawartych w drukowanym słowie — odpowiedź zda się prosta: dom i szkoła. A jednak konfrontacja z rzeczywistością nasuwa nieco inne stwierdzenie).

Jeśli wierzyć młodzieży, jeśli zrozumiała ona intencję zawartą w postawionych pytaniach, to sprawa przedstawia się następująco:

dom (ojciec, matka, rodzeństwo)	31%
pierwszy kontakt z odpowiedzialną ksiązką	29%
koledzy	18%
inne okoliczności (teatr, radio, kino, loteria fantowa, telewizja)	7%
nie pamięta	5%

Taki układ czynników oddziałujących na zabkującego czytelnika wydaje się właściwy. Nie ulega wątpliwości, że największy procent (31 proc.) uczniów zdobywało ostrogi czytelnika w domu rodzicielskim, chociaż nie każdy dom łódzki jest przygotowany do tego. To, widąc wyraźnie z procentowego stosunku.

Z tych samych zapewne względów 29 proc. uczniów kojarzy swoje zamilowanie do czytania z pierwszą dobrą, bo odpowiadającą im książką, jaka we właściwym momencie trafiła do ich rąk. Idzie tylko o to, kto tę książkę podsunął, dom, szkoła, koleś czy zwykły przypadek?

Odpowiedzi odnośnie samej książki są mniej więcej jednokrotne, zmienia się tylko autor i tytuł jego utworu. „Zamitlowania do czytelnictwa wzbudziła we mnie książka Coopera pt. „Ostatni Mohikanin”. Czytałem ją z zapartym tehem. Przygody Sokolego Oka warty na mnie wielkie wrażenie. Postanowiłem przeczytać cały pięciotom. Później przerzuciłem się na Karola May'a. Zaczęłem także czytać Sienkiewicza”

I tak przesuwa się wspomnienia związane z bajkami Andersena, Don Kichotem, Quo Vadis, Placówką, Winnetou itp., lecz najważniejszy problem, pośrednik między uczniem, a książką, niewyraźnie się w tych wspomnieniach rysuje. Zdawałoby się, że odpowiedź powinna być raczej zdecydowana: szkoła, wszak ona nauczyla w większości przypadków abecadła i sztuki czytania, ona podsunęła odpowiednią powiastkę, opowiadanie, nowelkę, czy innego rodzaju książkę – powieść. A jednak, tak nie jest. Pierwsza książka, którą chwyciła czytelniczka, prze-mówiła do jego upodobania, niestety, rzadko wychodzi z rąk nauczycieli. Posłuchajmy, co na ten temat mówią uczniowie (kl. XI).

„Długo zastanawiałem się nad odpowiedzią, szukając w pamięci tego momentu, od którego zacząłem zdecydowanie czytać. Zdawało mi się w pewnej chwili, że to miało miejsce w kl. VIII pod wpływem lektury szkolnej, ale doszedłem do przekonania, że nie. Lektura szkolna poderwała mnie — nie powiem, ale ponieważ

*.) Spostrzeżenia nie pretendujące do naukowej analizy regulaminu oparto na 1.500 ankietowych wypowiedziach bezimiennych młodzieży liceów ogólnokształcących.

(Dokończenie na str. 2)



Wrażenia z gdańskiego
Festiwalu Studenckich
Zespołów
Artystycznych

UŚMIECHNIJ SIĘ!

I.

Oczywiście, wszystko zaczęło się od chaosu. Mam jednak wrażenie, że tym razem chaos był nieporównanie większy od tego, który panował przed początkiem świata. Na dzień przed rozpoczęciem festiwalu biuro organizacyjne i Klub Studentów Wybrzeża mocno przypominały stanowisko bojowe armii sztykującej się gorączkowo do odparcia przeważających sił wroga. Wróg zaś wysłał najpierw zwiadowców (byli nimi przeważnie dziennikarze), którzy

chyłkiem przemysłali się korytarzami Klubu chcąc cokolwiek wywieszyć. Na próżno! Klub był wielki, szta-
zupelnie nieprzystomny, in-
formacje sprzeczne. Zaś red.
Walicki — szef biura prasowe-
go wywiesił na drzwiach
swojego apartamentu transpa-
rentnik: „Bądź przygotowa-
ny na wszystko”. Przelto
przestraszeni i zbici z panfa-
lyku zwładowcy wycofali się
w czasie spokojnego „Grand
Hotelu”, aby tam oczekiwać
na posiłki. Jakoż niebawem
i nadeściły. Całe zastępy
teatrów, groźne zespoły pieś-
ni i tańca, ciężko zbrojni chó-

ryżyci, tancerze, a wśród tych mas dostojni choć ruchliwi harownicy — studenci piosenkarze. Szły te tłumy pod najbrzyźdszymi sztandarami i proporcjami, grały im orkiestry jazzowe, i tak to wszystko waliło, waliło, aż w końcu przestało i okazało się, że już wszyscy są. Nastąpił nowy ranek, dzień rozpoczęcia Festiwalu i wszystko się uładziło, szykując po cichu siły do wielkiej batalii. Wszystko za wyjątkiem nieba, z którego zaczęło obficie padać.

Wieczorem wszyscy stanęli w ordynku i z pochodniami i transparentami. Nie ma

Gdańska bez studentów“, „Niech żyje Gagarin“, „Uśmiechnij się“ poszli piękną ulicą Długą wznosząc ekrany krzyczy gromkie a wesole, aż na Długi Targ, gdzie Festiwal otwarto. Oficjalnie było mnóstwo dziennikarzy niemal tylu co na ostatniej olimpiadzie, nastroj bardzo podniosły choć rodzinny i nawet padać przestało. A jeszcze wojsko rozświetliło niebo i śliczne, młode Stare Miasto różnokolorowymi reflektorami. Oficjele przemawiali, studenci wznosili okrzyki — zawsze donośnie choć nie zawsze w najwła-

ciwszych momentach. Tak się rozpoczął Festiwal Kultury Studenckiej w Gdańsku. Czym się różnił od wszystkich poprzednich?

II.

Na pewno był spokojniejszy i grzeczniejszy. Na pewno nie wywołał takiej masy sprzeczných opinii, jak choćby krakowskie Juwenalia. W Gdańsku było spokojnie, co nie znaczy, że się źle bawiono, i na pewno było poważniej.

(Dokończenie na str. 5)

KRZYSZTOF POGORZELEC

Od podziwu do skandalu

CZY WIECIE, ŻE — POLSKA NALEŻY DO KRAJÓW O NAJWYŻSZEJ PRODUKCJI RADIO-ODBIORNIKÓW I TELEWIZORÓW? WYCHODZIMY NA RYNKI ŚWIATA, ODBIORCAMI NASZYCH APARATÓW SA: GRECJA, AMERYKA POŁUDNIOWA, KRAJE ŚRODZIEMNOMORSKIE

I JESZCZE COŚ: PODOBNO NA 100 NOWO ZAKUPIONYCH TELEWIZORÓW KRAJOWEJ PRODUKCJI... 120 WRACA DO PUNKTÓW NAPRAWY. JAK TO MOŻLIWE?

CENA STRACHU

W roku 1955 zaledwie 0,1 proc. ogólnej liczby polskich rodzin korzystało z dobrodziejstw fluoryzującego ekranu. Główny Urząd Statystyczny — sytuacja poprawiła się o tyle, że już około 6 proc. Polaków posiada telewizory. Można kwestionować różnego rodzaju wskaźniki, ale te-

mając własne telewizory. Aktualnie — jak to obliczył Główny Urząd Statystyczny — sytuacja poprawiła się o tyle, że już około 6 proc. Polaków posiada telewizory. Można kwestionować różnego rodzaju wskaźniki, ale te-

go jednego nie sposób: założone planem do roku 1965 "utulewizyjnienie" blisko jednej czwartej narodu zostanie nie tylko zrealizowane, lecz grubo wcześniej się z tym uporamy. Jako naoczny dowód, że jesteśmy na najlepszej drodze „ku”, może służyć pierwszy z brzegu łódzki sklep z telewizorami.

A teraz ciekawostka dla tych, którzy pasjonują się liczbami: w Stanach Zjednoczonych w roku 1956 było 39 mln abonentów telewizyjnych; w Anglii — 5.863 tysiące, w Kanadzie — równe 2 miliony, w Czechosłowacji — 76 tysięcy. Wreszcie Polska: 40 tys. sztuk odbiorników telewizyjnych.

Malo?

Wień dla pokrzepienia
serc, — jeszcze w tym roku
z tańm montaŝowych dwóch
naszych fabryk, znajdujących
się w Gdańsku i Warszawie
— na Targówku, zejdzie po-
nad 70 tys. 14-calowych
„Neptunów” i „Turkusów”,
117 tys. „Smaragdów” o
ekranach średniej wielkości
a więc 17 cali, do tego do-
jdzie 30-tysięczna dawka 21
calowych „Waweli” no i im-
port zagraniczny aparatów
sięgający 10—13 tys. sztuk.

Już to widzę: w czwartym polskim mieszkaniu pani Irena Dziedzic nie mówią już o „Kobrze”.
Horrendum!!

Badźmy jednak realista-
mi — na razie w 99 rodzi-
nach na 100 trwają gorącz-
kowe nieustające obliczenia.
To są ci, którzy znajdują się
na etapie marzeń o kinesko-
powym ekranie we własnym
domu, są w przedmiotu wy-
łożenia na ładę „salonu te-
lewizyjnego” owych 6 lub 9
tys., względnie kandydaci do
spłacenia za pośrednictwem
ORS 19 miesięcznych „rat”,
4 złotych polskich 300, plus
koszt manipulacyjnie oraz

3 tys. złotych na tzw.
pierwszą wpłatę.

Natomiast reszta — ta jednonopcentowa — na zmianę ogląda „Kobry” i pomstując na czym telewizyjny świat stoi cyrkuluje pomiędzy swoimi mieszkańcami, a najbliższym punktem usługowym naprawy telewizorów. Na 100 nowo zakupionych telewizorów krajowej produkcji w ciągu miesiąca wraca do ZURT 120. (Słownie — sto dwadzieścia).

OD PODZIWU DO SKANDALU

Dwa lata temu na międzynarodowych Targach w Poznaniu był prawdziwą sensacją. Nazywał się „Wawel”, miał ekran szerokości 21 cali, a urodził się w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych na Targówku. Wszyscy się nim zachwycali, padaly zamówienia ze strony kunców zagra-

nieznych. "Wprawdzie miał kosztować 12 tys. zł., ale coś to znaczy dla amatora, jeżeli w zamian stanie się on posiadaczem „kina” we własnym mieszkaniu. W dwa miesiące później na polecenie władz wstrzymano produkcję „Wawel” w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych; aparaty po dwóch, trzech dniach eksploatacji kompletnie „wyśladaly”.

Podałem już, że na 100 nowo zakupionych telewizorów krajowej produkcji ponad 120 wraca do zakładów usługowych na „szpitalno-

Dokończenie
na str. 4



Upowszechnienie — kraina nieznana

W serii interesujących artykułów („Rozmowy o polityce kulturalnej”), zamieszczonych w numerach 16-19 „Ogłoszeń” wypowiadali się na temat upowszechnienia wartości kulturalnych Zbigniew Nienacki („W dzungli upowszechnienia”), Wiesław Jazdyński („Idzie wiosna...”), Tadeusz Papież („Grzechy główne i powszednie”) oraz Henryk Anders („Kole się kreśli”). Artykuły te odświeżyły i ukazały złożone problemy i omawiane zagadnienia.

Słusznie stwierdza Tadeusz Papież, że polityka kulturalna prowadzi się między innymi również do ustalenia i stosowania kryteriów jednolitej praktyki. Zgoda, ale... Odtąd to, że ta „jednolita praktyka” stosowana według ministerialnego wzorca przez Wydziały Kultury nie zawsze przystaje do skomplikowanej i niełatwej sytuacji w terenie. Bo proszę spojrzeć choćby na mapę instytucji kulturalnych w województwie łódzkim! Dookoła uprzywilejowanego w samej Łodzi „kwadratu” najgęstszych nasycenia ośrodkami, rozpowszechniającymi wartości artystyczne (teatr, kino, muzea, filharmonia, LDK, MDK, KMPK, klub), „kwadratu” mieszczonego się w przybliżeniu między ulicami Kilińskiego, Żeromskiego, placem Wolności i placem Reymonta, rozciąga się „nie nasycenie” wystarczające „teren” miejski i wiejski, złożony z okolic podmiejskich,



widzą przed nimi nieznane trudne zadania interpretacji i wyjaśnienia słuchaczom sensu i wagi nowoczesnych wybitnych fenomenów sztuki powieściowej. Nawet wśród tak zwanych miłośników książki zdarzają się wypadki błędnej oceny i fałszywego rozumienia powieści Faulknera, Dürrenmatta czy Andrejewskiego (szczególnie „Brany Raju” wywołują liczne i częste nieporozumienia). A oż dopiero mówić o wypadkach, gdy czytelnicy z grupy b) mniej lub bardziej zainteresowani literaturą piękną, skarżą się nawet na rzekome niejasności i nagłe, zbyt szybkie jakoby, ich zdaniem, zwroty w akcji w „Starym i Nowym” Luejana Rudnickiego.

Jedną z prób rozwiązywania trudności w polityce upowszechniania czytelnictwa powinny być starania organizatorów o właściwy dobór słuchaczy na prelekcjach na tematy najbardziej odpowiadające ich wyrobieniu czytelniczemu, o szerokie promowanie rozwoju ich upodoban i gustów. Nie da się tego przeprowadzić stosując kryteria „jednolitej praktyki upowszechniania”.

Selekcja tematów i właściwy dobór, odpowiedniego i możliwie jednolitego — do poziomu czytania słuchaczy — powinien być troską i ambicją organizatorów imprez odczytowych.

Inną poważną bolączką w akcji upowszechniania jest kwestia poruszona przez Zbigniewa Nienackiego. Jeżeli prawdą jest to, co pisze autor artykułu „W dzungli upowszechniania”, to wydaje się, że przemilczanie wysiłków przez Nienackiego rekryminacji i brak odpowiedzi w prasie ze strony zainteresowanej jest szkodliwy, gdyż przyczynia się do zaciemnienia sprawy i stwarza pozory słuszności argumentacji bojowego młodego pisarza, w młóli sentencji: „Qui tacet consentire videtur”.

Wydaje się również słuszne, żeby w akcji upowszechniania czytelnictwa brali udział: a) pisarze zorientowani przez Wydziały Kultury w „zapotrzebaniach” czytelników terenu posiadających gruntowną znajomość tematu i nie pozbawieni zdolności i daru wymowy, co jest jednym z ważnych elementów, przyczyniających się do prelekcji literackiej, oraz b) pisarzy, którzy prezentują czytelnikom swoje nowo wydane książki.

W przeciwnym razie, jeżeli, powtarzam, fakty zaobserwowane przez Nienackiego pokrywają się z rzeczywistością, to dotychczasowe praktyki jednostek będą przynosiły szkody środowisku i będą zaciemniały i tak już nie dość jasny obraz polityki upowszechniania, polityki prowadzonej przez wydziały kultury — w krainie nieznanej.

**ROZMOWY
O POLITYCE
KULTURALNEJ**

(Dokończenie ze str. 11.)
ciążyło na niej piętno przynależności do dwójki, a nadto, inne pozycje tej lektury z wyraźną cechą zamówienia społecznego, zupełnie mnie i koleżankom nie odpowiadały. Chyba więc nie tą drogą rozmawiałam się w czytaniu. Po prostu przypadkowo znalazłam w domu Krzyżowców, którzy wywarli na mnie tak duże wrażenie, że odtąd zaczęłam czytać po kolei wszystkie powieści historyczne. Za nimi poszły inne.”

Ta wypowiedź jest swego rodzaju zmiennym tuzem, bo okazuje się, że obowiązkową lekturą nie zostaliśmy czytelnikami, choć jest to naszym zadaniem. Jej nadmiar i ukierunkowana interpretacja często zniechęcały do książki. I tak chyba przedstawia się sprawa w wielu przypadkach, bo jak dotychczas, szkoła rzadko zdobywa się w powodzi obowiązkowej lektury na wysiłek podsunienia uczniowi odpowiedniej książki bardziej go interesującej i potrzebnej do jego rozwoju. Tak można wnioskować z innych o podobnej treści wypowiedzi, choć nie brak stwierdzenia, że „profesor historii dał mi do przeczytania „Zaklęty Dwór” Łozińskiego i inne dobre książki ze swojej prywatnej biblioteki”. — Najczęściej jednak sprawa tej tajemniczej pierwszej książki przedstawia się tak, jak relacjonuje uczeń kl. X. „Trudno mi dziś ustalić, skąd czy od kogo otrzymałem tę pierwszą książkę, która zrobiła ze mnie czytelnika”.

Z wypowiedzi uczniów wynika, jak bardzo ważną jest rzeczą dla problemu czytelnictwa, aby do rąk ich we właściwym czasie dostawała się odpowiednia lektura, bo niefortunne posunięcie może czasem na długi okres odciągnąć młodego człowieka od książki. A takie właśnie pierwsze, w młodości zadziergnięte kontakty z książką, są bardzo silne i trwałe. Obok tego, w jakim znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. W pierwszym przypadku rozwija się zapal do czytania, w drugim pozostaje może uraz.

Na szczęście muszę zaznaczyć, że nie spotkałem się ze stwierdzeniem, aby niechęć do czytania zrodziła się pod wpływem nieodpowiedniej lektury, jaką młody czytelnik wziął po raz pierwszy do ręki. Podawano również motywy takie jak: sport, muzyka, kino, teatr, wycieczki itp., ale o książce rodzącej awersję do czytelnictwa młodzi nie wspomina. Może rzeczywistość żaden z moich informatorów nie spotkał się z takim przypadkiem, albo ze stoickim spokojem odrzucał jedną i sięgał po drugą lekturę. Natomiast we wszystkich niemal wypowiedziach podkreślano silnie dodatni wpływ tej pierwszej książki, który w wielu przypadkach przetrwał się w pasję czytelnictwa, abstrahując od jej wartości i skutków. „Do czytania zachęciła mnie przede wszystkim dobra książka, pisze uczeń kl. X. — Jeśli się nie mylę, pierwszą z nich była powieść „W pustyni i puszcy” Sienkiewicza, przeczytana przeze mnie chyba już w czwartej klasie, i wtedy zaczęło się. Czytałem co tylko mogłem, odpowiednio czy nie, wszystko jedno, było dużo”.

Z dobrą książką dużo młodzi łączy swój pierwszy krok czytelnicy, ale jak zaznaczyłem uprzednio, sprawa, kto tę książkę dostarczył, nie jest zdecydowanie wyświeblona. Nie ulega wątpliwości, że pod tym względem nie możemy stawiać tylko i wyłącznie na przykład Biorąc pod uwagę stopień wkładu różnych czynników w pracę czy akcję propagandową czytelnictwa oraz wypowiedzi uczestników ankiety, przypuszczam, że udział domu i szkoły zamyka się w granicach około 40 proc. przypadków, a pozostałe 60 proc. to już zapobiegliwość samego ucznia i pośrednictwo kolegów, zasługa nauczyciela i innych postronnych czynników i okoliczności.

Trzecie z kolei miejsce w tabeli propagatorów czytelnictwa przypada w udziale kolegom (18 proc.). O ich zasługach autorzy ankiety wyrażają się w ten sposób: „Właściwie nie interesowałem się czytelnictwem poza tym, co musiałam pod groźbą dwójki przeczytać z lektury obowiązkowej. Tyle było przecież innych bar dziej godziwych rozrywek i przyjemności. Przypadkowo, z zachowaniem prawideł konspiracji, dała mi koleżanka do przeczytania jedną z książek Mniszkówny. Bardzo mi się podobała, choć starsi mówili, że to szmira. Wzięłam później od niej inne w podobnym wydaniu i odtąd zaczęłam żwawiej interesować się książką. Dziś czytam naprawdę już tylko wartościowe pozycje, ale stwierdzić muszę, że mimo wszystko zaczęłam się od Mniszkówny. Usłużność koleżanki zjednała mnie dla czytelnictwa”.

Pośrednictwo kolegów przybiera jeszcze inne formy. Do nich zaliczają uczniowie interesujące streszczenie pewnego fragmentu książki, prowadzona dyskusja na temat, którego roz-

czyli uczniom, rodzi naturalny odruch sprzeciwu, chwilową może niechęć do książki, w wyniku czego nauczyciel nie stawia się w należytej roli propagatora czytelnictwa. Po czwarte: biblioteka szkolna nastawiona na lekturę obowiązkową dysponuje ograniczoną ilością takich pozycji, zwłaszcza najnowszych, które interesują młodzież. Myślne założenie biblioteczne — bo sprowadzające się przeważnie do lektury programowej, mści się utratą czytelnika przez instytucję najbardziej do rozwoju czytelnictwa powołaną. Zaśniędzenie w przeszłości, a minimalny kontakt ze współczesnością na odcinku programu szkolnego, nie może dawać lepszych czytelnicznych rezultatów. Taki jest punkt widzenia młodzieży, na te sprawy, czy słuszny, nad tym nie będziemy się zastanawiać. Ale głos ankiety rzuca pewne światło na postawione w tytule pytanie, a szkole odbiera przytyk na polu propagowania czytelnictwa. Uczeń nie chce czy nie umie patrzeć obiektywnie na szkołę może dlatego również, że traktuje

na przeróbce powieści. Ten fakt oprócz strony czysto restrykcyjnej posiada pewną wymowę. Trudno odpowiedzieć, dobrze to czy źle, że taki a nie inny procent uczniów czerpie natchnienie do czytelnictwa z X Muzy, Melomany, radia, czy telewizji, ale zadowala świadomość, że część młodzieży to nie bierni widzowie czy słuchacze, ale czynni odbiorcy, którzy potrafią patrzeć i odczuwać, dążyć jednocześnie do rozszerzenia i pogłębienia kręgu swoich zainteresowań. O tej nielicznej grupie młodzieży można powiedzieć, że posiadają kulturę widza, o którą szkoła zabiega i walczy z uporem, choć bez większego rezultatu.

Pozostała wreszcie nie duża grupa młodzieży wynosząca 5 proc., która nie chce się angażować po tej czy po innej stronie w przyznaniu prymatu w rozwoju czytelnictwa, bo albo nie jest tego pewna, albo też uważa, że to oni sami wkroczyli na drogę, jaką przed nimi otwiera książka. A więc pewnego rodzaju „samorządztwo”, które zasługuje na uznanie, jeśli nie kryje się za tym przechwałka. Możliwe, że tak jest w rzeczywistości, znamy wiele przypadków puszczonej dzieci samopas, którymi nie interesuje się dom, a także i szkoła przed dziełem czasem obok nich obok. Ci uczniowie, których zdaniem sami sobie zawdzięczają awans czytelnictwa, tak wyjaśniają sprawę: „Ponieważ dotąd nie byłem odcity od świata, a nikt mnie nie kierował, sam znalazłem masę powodów w życiu, aby czytać książki. Może ktoś inny postawiony w takiej sytuacji obrałby fałszywą drogę, ja miałem szczęście, o własnych siłach doszedłem do prawdziwej książki. Nasz bibliotekarz szkolny przewodził mi nie znalazł mego nazwiska”.

To ostatnie stwierdzenie winno być przeanalizowane przez bibliotekarzy. Zdać sobie sprawę z tego, że nasze biblioteki nie są jeszcze należycie wyposażone, bo przechodziły burzliwy okres inkwizytorstwa poczyniły, ale operując nawet posiadanym i stale powiększanym zasobem, można przecież znaleźć drogę do czytelnika choćby na tyle, by nie narazić się na skargę: „bibliotekarz nigdy nie znalazł mego nazwiska”. Prawda, że uczeń jest rzadkim gościem w bibliotece szkolnej jeśli idzie o lekturę nadobowiązkową — tylko w 10% korzysta z jej zasobów, „nie ma tam po co chodzić”, ale jest wiele dróg spopularyzowania osoby bibliotecznej i księgozbioru jakim dysponuje szkoła. Dobry sprzedawca posiadający mały zapas towarów potrafi zareklamować siebie i swoje przedsiębiorstwo, dobry bibliotekarz rozumiejący swą wielką rolę wychowawczą, potrafi zwać uczniów z placówką, choćby — jak twierdzą uczniowie, „nie było w niej tego, na co ma się ochotę”.

W 69% zatem młodzież szkolna bierze „wiatryk” na trudną drogę czytelnictwa z rąk innych aniżeli szkoła i dom, około 70% książek będących strawą duchową młodego czytelnika pochodzi z innych źródeł aniżeli dom i biblioteka, ze źródeł, nad którymi nie mamy pełnej kontroli. Te dane wskazują na coś i zobowiązują do czegoś. Wskazują na małą produktywność dotychczasowych wyników w walce o poziom czytelnictwa, bo wiele energii przeleciało różnymi niepożądanymi kanałami, zobowiązują do rewizji dotychczasowych metod pracy nad czytelnictwem, aby zwiększyć siłę oddziaływania na ucznia, aby główny punkt ciężkości w tej całej akcji przesunąć z czynników uboższych na czynnik młodszy i odpowiedniejszy. Czy i kiedy to nastąpi, wszystko zależy od miejsca, czasu i pieniędzy.

STANISŁAW SIEGEL

PROMOTORZY CZYTELNICTWA

winięcia szuka się potem w odpowiedniej lekturze, przyjaźni z kolegą stojącym intelektualnie wyżej, wspólnie spędzone wakacje i „prowadzone wieczorami rozmowy”, zachęta do założenia własnej biblioteczki, a nawet... różne gry, w których z powodu braku pieniędzy stawką była książka.

Wiadomo, że pośrednictwo kolegów nie zawsze prowadzi do czytelnictwa w dobrym wydaniu i należałoby je eliminować w jak największym stopniu. Wprawdzie bywały przypadki już przytoczone wyżej, które kończą się dobrze, ale na tym nie można polegać. — Połączając jest to, że propagatorska rola kolegów w naszych szkołach nie jest zbyt duża, a co najważniejsze, młodzież mimo wszystko pozostaje pod pewną kontrolą: domu i szkoły. Zresztą umiejętnie i planowo prowadzona propaganda książki przez szkołę przyczynia się do tego, że nawet pośrednictwo kolegów będzie pożyteczne.

W tym obrachunku uwidacznia się dość słaba rola szkoły. Ani nauczyciel, ani bibliotekarz szkolny nie mogą poszczycić się wielkimi, pełniejszymi osiągnięciami, pomijając statystyczne wykazy obrazujące ilość wypożyczonych książek. Ale to inna sprawa. Zdawałoby się, że kto jak kto ale właśnie szkoła jest w pierwszym rzędzie powołana do tego, aby zająć dominujące stanowisko w akcji rozwoju czytelnictwa, aby kształtować model czytelnika, wyrabiać nawyki, aby budzić prawdziwe zamiłowanie do książki. Dlatego zatem jest inaczej, dlatego młodzież w małym stopniu przynajmniej się do tego, że szkoła rozbudziła w niej zapal do książki, że zaraziła ją niebezpiecznie „bakcylią” czytelnictwa, który każe nie spać, nie jeść, po to, by odczuć z książką.

Odpowiedź jest prosta i powszechnie znana. Po pierwsze, nauczyciel — zwłaszcza polonista, realizując ogromny program, nie ma czasu, na to, aby ukazać młodzieży wartość i piękno książki, głęboki sens czytelnictwa; po drugie — obowiązkowa lektura przytłacza młodzież balastem pozycji i metodą interpretowania utworów, która jak twierdzą zraża a nie zachęca do czytania; po trzecie, widmo dwójki, jako środka „zachęty” do czytania utworów, nie zawsze odpowiadają-

ją czasami jako „koszmar”, przed którym zagiębia się w tajemnicze strony książki. Jaka więc ostateczna konkluzja? Daje ją młodzież w następującym sformułowaniu: „Kto rozbudził we mnie zamiłowanie do książki dziś już nie pamiętam, bo czytałem od dawna. W każdym razie nie dokonałem tego, bo przyjemność czytania zabijała lektura programowa, którą musiałem przerabiać, obowiązkowo czy podobna mi się czy nie. A przy tym było już bardzo wiele i co najważniejsze musiałem ją rozumieć tak, jak chciał profesor. Pod tym pretekstem czułem się jak małe dziecko, które zmusza się do jedzenia. Wiadomo, jeśli każdy lubi i ostatecznie musi, ale ta przyjemność życiowa zbrzydnie, gdy każe się to robić na siłę”.

W małym więc stopniu przypisuje młodzież szkole zasługi w rozwoju czytelnictwa, pomijając sprawę nauczania dziecka czytania, trzeba z tym pogodzić się, przynajmniej na razie. Dobrze jednak to, że nauczyciel i szkoła są dostrzegani w tej pracy, to też coś warte. A jaka jest rola biblioteczniaka szkolnego, czy proponuje czytelnictwo, czy skrył się za regał z książkami? Czy spełnia on ważne funkcje wychowawcze, czy ogranicza się tylko do czynności kustosza rejestratora? Przecież powinno go stać bardziej niż nauczyciela zaginionego lekturą, na to, aby poznać młodzież, jej upodobania czytelnictwa, służyć fachową radą, pomóc w wyborze książki. Nasi bibliotekarze są pod tym względem na poziomie, tylko ich działalność paraliżuje brak odpowiedniego warsztatu pracy. Książek wiele, ale gdy przyjdzie się coś wypożyczyć to prócz lektury obowiązkowej nie wiele znajdzie się nowości, a zresztą, są w tak ograniczonej ilości egzemplarzy, że nie sposób coś dostać — skarżą się uczniowie.

Niewiele stosunkowo bo tylko 7 proc. uczniów, wiąże swój pierwszy „występ” czytelnicy z okolicznościami tego rodzaju jak kino, teatr, radio, telewizja. Odnosi się to przeważnie do filmowanych czy wystawionych na scenie utworów powieściowych, które zainteresowały do tego stopnia, że zmusiły sięgnąć po książkę. Analogicznie przedstawia się sprawa z audycjami radiowymi, i telewizyjnymi, opartymi

gmin i powiatów... To mechaniczne rozróżnienie pomiędzy Łodzią kulturalną A i Łodzią kulturalną B nie wyzeruje jednak zagadnienia, gdyż jak słusznie przypomina Henryk Anders, na te sporządzone doraznie, wyobraźniową mapę, złożoną z „kwadratu” i „terenu”, nakłada się wykres socjologiczny ludności zamieszkującej województwo łódzkie, wykres, z którego wynika, że w 1958 roku 33 procent robotników nie czytało książek w ogóle, 12 procent nie czytało gazet, zaś 10 procent nie czytało nie zgola.

Niemale znaczenie posiada również sprawa „rozwarstwienia” rzeszy czytelników oraz przyszłych kandydatów na czytelników. Według moich osobistych doświadczeń w wąskim zakresie interesującego mnie szczególnie problemu czytelnictwa, dziele mieszkańców województwa łódzkiego na: a) obywateli wobec książki, b) mniej lub bardziej zainteresowanych literaturą piękną i c) miłośników książki.

I oto stojmy wobec zagadnienia nie tylko jak upowszechniać, ale również — co upowszechniać? Zagadnienie to posiada szczególne znaczenie zwłaszcza w grupach a i b.

Powstaje zatem pytanie, czy można bez końca zalecać i propagować, w wymienionych wyżej grupach, starych, wypróbowanych autorów, klasyków, przedstawicieli realizmu krytycznego, lub innych wybitnych pisarzy, reprezentujących lub zbliżonych do nurtu zwanego realizmem socjalistycznym?

Nie bez racji podkreśla w swym artykule Wiesław Jazdyński, że „bezlitosny czas odsuwa w cień pewne tradycje kulturalne i rodzi nowe”. Czy można zatem niezmienne upowszechniać starą klasyczną literaturę i socrealizm zamykając równocześnie oczy na deniesie zmiany, jakie dokonały się w obrębie gatunku powieściowego od drugiego dwudziestego wieku?

Względem natury praktycznej (to znaczy, że niewyrobio-

ALEKSANDER
NIEŚMIAŁEK

»Słomiany wdowiec«

Cały wachlarz sytuacji w jakie może popaść nawet najwierniejszy mąż, gdy wysłanie swojej żony i dziecka na wakacje, a sam zostanie w domu — ukazuje nam reż. Billy Wilder w „Słomianym wdowcu”. Owe sytuacje mogą być tym bardziej niebezpieczne dla wszystkich potencjalnych słomianych wdowców, kiedy w pobliżu mieszkają po nętne sąsiadki cierpiące czasami na samotność. Twórca „Bulwaru Zachodzącego Słońca” i „Miłości po południu” ironizuje i kpi ze swych bohaterów, ale jednocześnie otacza ich sporą dozą ciepła i liryzmu. Bohaterowie „Słomianego wdowca” nie są prawdziwi, ale raczej prawdopodobni. W ich rysunku stara się Wilder dać syntetyczny obraz Amerykanina z jego słabościami i wadami. Nie reklamuje też określonego stylu życia, ale ukazuje różne sytuacje (prawdopodobne i nieprawdopodobne), jakie mogą się przydarzyć spokojnemu amerykańskiemu urzędnikowi.

To, że ukazuje owe słabości, wady jako sytuacje komediowe, stanowi podstawowy plus filmu, który oglądając można się szczerze pośmiać. Ten „Słomiany wdowiec” ma niesłaby, szereg

minusów, a wśród nich zasadniczy — zbyt długi metraż filmu. Za bardzo też czuje się w tym filmie teatr. Prawie cały czas zachowana jest jedność miejsca akcji. Jak na komedię jest to zbyt nużące. Na usprawiedliwienie należy wspomnieć, że Billy Wilder napisał scenariusz „Słomianego wdowca” na podstawie sztuki teatralnej Georgesa Oxalroda pt. „Co 7 lat zmienia skórę”.

Ołbrzymim plusem tej miłej komedii jest aktorstwo Marylin Monroe i Toma Ewella. Oboje są przeźabawni i bardzo sympatyczni. M. M., którą poprzednio oglądaliśmy również w komedii Wildera „Pół żartem, pół serio”, reprezentuje w tym filmie typową amerykańską sex-bombę, sąsiadkę poczciwego i spokojnego pracownika, wydawnictwa książkowego. Jak każdy Amerykanin, rozczłupuje się on w różnych psychoanalizach i wiele czysto ludzkich cech próbuje tłumaczyć sobie przy pomocy owych pseudonaukowych wydawnictw, które sam wydaje.

Jest, więc w tym filmie sporo humoru, ironii i dużo dobrego aktorstwa, choć trochę za mało lekkości i frywolności.



MARYLIN MONROE i TOM EWELL

EKRA- NIK

Duże zainteresowanie w kołach filmowych Włoch wywołała wiadomość o zakończeniu prac nad scenariuszem filmu poświęconego życiu wielkiego poety hiszpańskiego Federigo Garcia Lorcę, Ugo Pirro i Sergio Amidei zebrali ogromny materiał dokumentacyjny m. in. w samej Hiszpanii, wydobywając na światło dzienne nowe i nieznane nikomu fakty. Nazwisko realizatora tego ambitnego dzieła o Lorcie nie zostało jeszcze ustalone. Władom tylko, że film zostanie uświetniony najgłośniejszymi nazwiskami międzynarodowego świata ekranu.

W największej tajemnicy kreśli się nowy film znanego włoskiego reżysera Pietro Germi, twórcy min. „Drogi nadziei” i „Czer-

wonego sygnału”. Film Germi nosi tytuł „Kaprys włoski”. I jest to ponoc kryminal o zabarwieniu groteskowym. Akcja toczy się na Sycylii. Grają m.in. Marcello Mastroianni, Daniele Rocca.

Germi nie wpuszcza na plan ani dziennikarzy, ani fotoreporterów, chociaż próbują oni wszelkimi środkami wtargnąć do atelier. Reżyser trzyma również w tajemnicy nazwisko wykonawczyni głównej roli kobiecej, o której fama głosi, iż jest młoda i bardzo piękna dziewczyna. Prasa włoska uważa, że Germi szykuje super-bombę sezonu, film, którym ma zaimarować cały świat ośmić i zadziwić.

Słynny pies Dox, który po latach służby w włoskiej policji odesłany został na emeryturę, zasilił szeregi gwiazd ekranu kontynuując chwałebnie tradycje takich znakomitości jak Rintintin i Lassie. Film „Polowanie na człowieka” osnuty będzie na autentycznych perypetiach dzielniego psa, który w czasie swojej służby przyczynił się do ułaskotkowania niejednego przestępcy. Obok Doxa w „Polowaniu na człowieka” wystąpią Eleono-

ra Rossi Drago, Y. Furneaux U. Orsini i inni.

F. Truffaut, jeden z najgłośniejszych przedstawicieli francuskiej nowej fali, twórca „Czterech batów” i „Strzelajcie do pianisty” rozpoczął realizację nowego filmu zatytułowanego „Jules i Jim”. Tematem filmu jest przyjaźń i miłość. Przyjaźń dwóch mężczyzn, Francuza i Niemca, i ich miłość do jednej kobiety, miłość trwająca przeszło dwadzieścia lat. Postać Kate, bohaterki filmu kreuje znana młoda aktorka Jeanne Moreau.

Na ekrany kin amerykańskich wszedł od dawna oczekiwany western „One Eyed Jack” (Jednooki Jack) reżysera Marlona Brando. Realizacja tego dzieła trwała blisko dwa lata, co jak na standardy hollywoodzkie brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. A jednak „film nie jest sukcesem artystycznym” — powiedział sam twórca ze smutkiem w głosie — „Szczerze nad tym boleję, tym bardziej, że i moja kariera aktorska dobiega końca. Miałem aspiracje by być artystą. Nadzieje moje rozwały się. Teraz mam wrażenie iż spędziłem całe 24 miesiące na budowaniu kur-nika”.

EWA NURCZYŃSKA

„Rzeczywistość”

Filmy polityczne należą do najbardziej dyskutowanych — zarówno pod względem ich ideowej wymowy, jak adekwatności treści i artystycznej formy. Bardzo często, również w polskiej kinematografii, filmy słuszne,

potrzebne, szlachetne w swej wymowie — nie znajdują odpowiedniego kształtu artystycznego. „Rzeczywistość” A. Bohdziewicz ma pewne dane, by stać się wyjątkiem wśród schematycznych filmów politycznych. Reżyser oparł swój film na powieści, w której autor jako współuczestnik opisywanych zdarzeń dał wiele ładunku autentyczności. Sytuacje i postacie przemawiają prawdopodobieństwem psychologicznym i historycznym. Nie zdołał jednak Bohdziewicz dokonać twórczej filmowej adaptacji książki J. Putramenta. Dlatego „Rzeczywistość” Bohdziewicz może być znów argumentem w ręku przeciwników filmowych adaptacji dzieł literackich.

Przenosząc prawie sensacyjną fabułę na ekran, inteligentnie łącząc wątki, selekcjonując postacie i wydarzenia, nie zdołał jednak reżyser wydobyć w pełni atmosfery opisywanych zdarzeń, a przede wszystkim prawdziwie przedstawić postacie zaprezentowane przez Putramenta. Bohdziewicz adaptując powieść miał do wyboru — pokazać grupę lub jednostkę. Wybrał Julka Szulca, czyniąc go głównym przedstawicielem młodzi, która usiłowała przeciwstawić się siłom sanacji i fa-

szyzmu w Polsce przedwrześniowej.

Politycznym przeciwnikiem Szulca uczynił Bohdziewicz, tak zresztą jak i Putrament — Piaseckiego. Lecz Putrament o wiele wnikliwiej ukazał kulisy działalności Piaseckiego prezentując dokładniej i barwniej jego przełożonych. Piasecki, prokurator Zwolski i naczelnik Świętojański wyszli w filmie na skończonych kabotyńców — i nigdy nie zrozumiałem czemu usiłuje się wykaazać słuszność i wielkość głoszonych idei przez pogębienie nie tylko słabych idei, ale i moralnie przeciwników. Racje nasze okazałyby się mocniejsze, gdyby zwyciężyły w walce nawet z silnym wrogiem. Czyżby rzeczywistość po drugiej stronie nigdy nie było ludzi myślących? Mogą przecież myśleć źle, mogą myśleć źle świadomie, ale niech nie będą jedynie durniami.

O ile obóz sanacji usiłował Bohdziewicz jeszcze jakoś zaprezentować, a w postaci Piaseckiego lub przewodniczącego sądu wcielił pewne typy, o tyle grupę „Rzeczywistość” potraktował zupełnie po macoszemu. Wyeksponował tylko postać Szulca koncentrując na niej całą uwagę, albowiem, Szulce, człowiek ciagle jeszcze szukający właściwej drogi, przechodzący okresy załamania,

człowiek, który w decydującym momencie zwyciężył samego siebie — był chyba najwznieślijszą psychologicznie i najprawdopodobniejszą postacią.

Bohdziewicz decydując się na ten wybór poszedł po najłatwiejszej drodze. Ekspozując zaś swego bohatera zapomni o jego kolegach, o tych, którzy pomogli mu znaleźć cel. Nie pokusił się reżyser choćby o taką próbę psychologicznego pogłębienia postaci chłopców, jak to uczynił w wypadku ich przeciwników. Toteż główny konflikt filmu ukazał się nam jako konflikt jednostki, inaczej niż w książce Putramenta, która przecież przynosi obraz starcia nie jednostki lecz grupy, i to bardzo zróżnicowanej grupy, walczącej z sanacją i bezprawiem.

Takie ustawienie postaci w filmie pociągnęło za sobą aktorskie konsekwencje. Pole do popisu znaleźli jedynie H. Boukolowski w roli Szulca i L. Pietraszkiewicz jako Piasecki.

Grę Boukolowskiego cechuje umiar, który uchronił go przed historyczną interpretacją, ku jakiej rola mogła skłaniać. Boukolowski jest chłopcem, pełen wdzięku i niemało jest jego zaśluzgi w psychologicznym prawdopodobieństwie postaci Szulca.

L. Pietraszkiewicz zaprezentował w roli Piaseckiego pewną odmianę stylu J. Gabina — podobieństwo twarzy tych dwu aktorów potęguje jeszcze to wrażenie.

P. Raksa jako Marysia, narzeczona Szulca, prócz ładnej postaci kobiecej nie wniesie do filmu nic nowego — powierzona jej rola, była zupełnie papierowa. „Rzeczywistość” posiada jeszcze dwa świetne aktorskie epizody — postać przewodniczącego sądu w interpretacji B. Dardzińskiego i postać Gawełka — J. Pałuszkiwicza. Wszyscy inni aktorzy, zwłaszcza grający członków redakcji, wypadli, nie ze swej winy, zupełnie nieciekawie.

Film Bohdziewicz załamał się na tym, co w powieści stanowi jej mocną stronę — na dialogi. Film wymaga żywszej akcji aniżeli powieść. Na ekranie musi się coś dziać, chyba że reżyser decyduje się na zupełnie odmienny kształt artystyczny filmu, jak — w „Hiroszimie” lub w „Dwunastu gniewnych”. Jeśli Bohdziewicz zgubił dramatyczną akcję, nie potrafił tak jak Putrament scharakteryzować swoich bohaterów — to powinien był przynajmniej zastosować celny dialog — dramatyczny i błyskotliwy. Udało mu się taki dialog zaprezentować tylko raz, w sce-

nach procesu — poza tym dialog nie potrafi ratować pustych, nie znaczących scen. Toteż film jest chwilami po prostu nudny. Niektóre jego fragmenty stały się bezpłodną, mechaniczną ilustracją książki.

„Rzeczywistość” Bohdziewicz mimo wszystko jest jednak ambitnym filmem, który usiłował pozbyć się wiszących nad filmem politycznych cech schematyzmu, szukał drogi wyjścia przez skoncentrowanie się na dramacie jednej tylko postaci. Reżyser, przez zdawaloby się trafny wybór, popadł jednak w skrajność, utracił proporcje, zgubił ważnych bohaterów — grupę pisma „Rzeczywistość”, a przez to wykrzywił i sens polityczny książki Putramenta.

★

P. S. Czy prawie w każdym filmie A. Bohdziewicz musi być konieczna scena w domu publicznym?

odgłosy str.
3

mieszanka
FILMOWA

Jeszcze o młodziu

Tym razem bardziej optymistycznie. Nie z założenia, lecz z konieczności, gwoździł na oczy, pchał się bezczelnie i rozpierał, zapelniał sobą wszelkie dostępne miejsca publiczne, rozrabiał i skandalizował, hałasował i ryczył, mało dając mleka. Zachowaniem się tego właśnie odłamu młodzieży mierzyły całą pozostałą jej resztę, która stanowiła — śmiem

twierdzić — jej większość, ale cichą, skromną, zapracowaną, a więc mniej widoczną, bo obecną nie na ulicy, w kawiarniach i nocnych knajpach, ale w zakładach naukowych, w bibliotekach, w zajęciach przy biurku, w laboratoriach, w zespołach świetlicowych, w kółkach i klubach samokształceniowych, ślęczącą w domu nad książką i przy zakładowych warsztatach nad praktycznym rozwiązaniem teoretycznych zagadnień. To jest to zdrowe jądro współczesnej młodzieży. I jako jądro jest z natury rzeczy mniej widoczne, a dla niektórych całkiem nie istniejące w otoczeniu bardzo widocznych, często nadpsutych, a nieraz zupełnie już zginiętych, łupin zewnętrznych. Myślę, że właśnie ta młodzież jest iskrami naszego optymizmu i nadzieją naszej przyszłości. Trzeba od razu dla jasno-

ści zaznaczyć, że jest to młodzież o zainteresowaniach w swojej ołbrzymiej większości przede wszystkim praktycznych: zawodowych i specjalistycznych. A więc ta młodzież, która stworzy w najbliższej przyszłości nowe kadry inteligencji technicznej. Z własnych doświadczeń autorskich, a także z doświadczeń moich kolegów po piórze, wiem, że w rozmaitych imprezach kulturalnych, występach i odczytach najlepsze audytoria słuchaczy składają się z takiej właśnie inteligencji i młodzieży technicznej. Mają proste i konkretne, a więc właściwe podejście do zagadnień kultury, społecznego znaczenia sztuki i słowa pisanego, ludzkiego sensu artysty w każdej jego postaci. Ta młodzież techniczna góruje nad humanistyczną we wszelkich rozważaniach nad sztuką i literaturą przewagą praktyczną, a nie teoretyczną, sposobu ujmowania zagadnień. To jej daje szerszą perspektywę poglądu na rozmaite, nieraz bardzo szczegółowe, sprawy plastyki, powieści, dramatu i poezji. Przede wszystkim nie dzieli zjawisk na stare i nowe, na archaiczne i nowoczesne, lecz na dobre i złe, na żywe i martwe. Dla nich obraz, sztuka teatralna, powieść i wiersz są konkretnymi miazdami ich wzruszeń, a nie abstrakcyjnymi pretekstami teoretycznych spekulacji —

co jest niezdolnością natrętną obsesją, wprost bzikiem intelektualnym, młodzieży o tzw. zainteresowaniach humanistycznych, a zwłaszcza plastycznych i literackich. I tutaj zachodzi dziwny, a raczej dziwny, paradoks. Właśnie inteligencja i młodzież humanistyczna zarażona jest głównie wadą technicznego traktowania spraw literatury i sztuki. Typowo cywilizacyjne patrzenie na rzeczy przenoszą w dziedzinę humanistyki, wymagając swoistej odrębnej miary i ocen. Psychologia to jednak coś innego, niż mechanika, mimo wspólnoty wielu elementów cybernetycznych, jak np. automatycznych sprzężeń zwrotnych, odruchów warunkowych itp. To doskonale rozumie inteligencja i młodzież techniczna — tego całkiem zdaje się nie rozumieć młodzież humanistyczna, powierzchowna, a więc dyletancka, znająca dziedziny techniki, a tym samym niewłaściwie stosująca jej mierniki w dziedzinie humanistyki. Technik prawidłowo rozumie, kiedy powiada, że każdy nowy, a więc sprawniejszy, praktyczniejszy, wydajniejszy model maszyny, wyrzuci na smole model stary, mniej sprawny, praktyczny i wydajny. Natomiast nieprawidłowo czyli fałszywie i błędnie rozumie humanista, kiedy powiada, że każdy nowy wiersz, dramat, powieść, u-

twór muzyczny, obraz plastyczny lub rzeźba wyrzuca automatycznie stary czyli poprzednio stworzony wiersz, dramat, powieść itd. To przecież oczywisty nonsens. Mickiewicz wcale nie likwiduje Kochanowskiego, a Szymanowski Chopina. Wprost przeciwnie. Każde nowe zjawisko w dziedzinie sztuki podnosi wartość poprzedniego, uwydatnia jego odrębność i osobliwość, sprawdza swoją trwałość. Epopeja Mickiewicza „Pan Tadeusz” wcale nie likwiduje epopei Homera „Iliady” czy „Odysei” — wprost przeciwnie, podkreśla ich swoistość, podobnie nowe poematy Majakowskiego wcale nie likwidują starych poematów Puszkina. W dziedzinie twórczości artystycznej obowiązują prawa wprost przeciwnie, niż w dziedzinie twórczości technicznej, gdzie wartości nowe z natury rzeczy znoszą i likwidują wartości stare. Nikt nie będzie jeździł dorozką, mogąc jeździć taksówką. W dziedzinie twórczości artystycznej wartości się nie likwidują, lecz sumują. Kto przeczytał „Pana Tadeusza” tym bardziej będzie chciał przeczytać „Iliadę” i „Odyseję”, a kogo wzruszył Szymanowski tym bardziej będzie chciał posłuchać Chopina, jako źródła muzyki współczesnej. Technicystyczne traktowanie spraw artystycznych

jest zasadniczym błędem inteligencji i młodzieży humanistycznej, pragnącej uchodzić za postępową i nowoczesną, a zdradzającą takim właśnie pomieszanym pojęciem całą swoją powierzchowność, niedowład intelektualny i umysłowe zapóźnienie. Przecież kult technik i uczenia się nie uniwersalnego miernika wartości świadczy o jej ignorancji w tej dziedzinie. Nigdy technik z prawdziwego zdarzenia nie przyniesie miar swej specjalności w odrębną dla niego dziedzinę wartości humanistycznych. On uświadamia sobie doskonale, że róża, spontaniczny swój przyród, to całkiem coś innego, niż dajmy na to — śruba, racjonalny twór rąk ludzkich. Tylko pomyłony poeta, samozwańczo — a więc rzekomo — nowoczesny, neguje różę w imieniu śruby, nie rozumiejąc automatycznych wartości różnych dziedzin, a jednak niezbędnie współzależnych, rozstrzygających o sensie życia w ogóle. Wbrew paradoksalnemu aspektowi tej sprawy twierdzą z głębokim przekonaniem, że ocalili humanistykę, właściwie pojmując jej autonomiczne i niezmienne zastąpienie wartości w kulturalnym rozwoju człowieka, może tylko inteligencja i młodzież techniczna, najlepsza nadzieja naszej przyszłości i najżywiej bijące źródło naszego optymizmu.

OD PODZIWIU DO SKANDALU

(Dokończenie ze str. 1).

naprawca „kwarantanne”. Być może ten wskaźnik wyda się paradoksalny, w praktyce znaczy on, że każdy z telewizorów przynajmniej w miesiącu raz się psuje, a poważna część aparatów ma na swoim koncie dwu i trzykrotny pobyt w ZUR. Zresztą mogę przytoczyć bardziej mi bliskie przykłady. Kolega po redakcyjnym piórze kupił niedawno telewizor marki „Smaragd”; w ciągu niespełna czterech miesięcy aparat był 12 razy w naprawie!

I jeszcze trochę szczegółów zebranych od ludzi, którzy na co dzień stykają się z nowymi aparatami radiowymi i telewizyjnymi, od kierowników „salonu” pp. Teodorczyka, Blesńskiego: regułą jest, że przynajmniej połowa aparatów po upływie dwóch, trzech tygodni wraca do punktów naprawczych. W samej tylko Łodzi i województwie płacówki ZURT naprawiają miesięcznie średnio ponad 1.600 radiodbiorników i 3.200 telewizorów. Opłaty za te usługi świadczone zwykle w okresie gwarancyjnym sięgają w przypadku telewizorów kwoty 470 tys. zł. Oczywiście obciążają one zakład, który te „braki” wyprodukował. Były takie wypadki, że z partii 400 sztuk aparatów otrzymanych z Dzierżoniowskich Zakładów „Diora” cała dawka wróciła do naprawy. Sytuację pozostawia w zakresie usług radiowo-telewizyjnych w znacznym stopniu komplikuje jeszcze fakt stosunkowo niewielkiej liczby punktów zajmujących się naprawą aparatury radiowo-telewizyjnej.

Jak podaje „Polityka” na terenie naszego kraju działa raptem 321 takich punktów. W maleńkiej Holandii jest

ich 1.100, a w sąsiedniej NRD aż 1.500. Liczby te nie wymagają komentarza, a najsurowiej tylko wniosków, miało być ten, że człowiek, który decyduje się na zakupienie nowego radioaparatu albo telewizora, musi nie tylko mieć zasób gotówki, ale również być przygotowany na najgorsze, na wielogodzinne wędrowki i wystawianie po punktach naprawczych ZURT, słowem, musi mieć sporą dawkę cywilnej odwagi i w tej sytuacji sam akt kupna radioaparatu lub telewizora jest przysłowiową... „ceną strachu”.

DWUSTU I ON JEDEN

Jak chce encyklopedia, telewizor to urządzenie radio-techniczne do odbierania ruchomych obrazów przesyłanych drogą radiową. Przy użyciu kineskopu przekształca on impulsy elektryczne, odpowiadające poszczególnym punktom obrazu, na impulsy świetlne, odtwarzające ten sam obraz na ekranie telewizora. Ponadto telewizor pozwala odbierać towarzyszące obrazowi dźwięki.

Tak twierdzą teoretycy, a ja jestem skłonny zmienić tę definicję: TELEWIZOR KRAJOWEJ PRODUKCJI TO MAGICZNE PUDEŁKO, KTÓRE ZABIERA DUŻO MIEJSCA W MIESZKANIU I PASJAMI LUBI SIĘ PSUC.

Przynajmniej telewizory wyprodukowane dla potrzeb wewnętrznego rynku. Bo o dziwo — te małe partie, które sprzedajemy kupecom zagranicznym cieszą się doskonałą opinią. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie starałem się znaleźć w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych na Targówku. Powiedziano mi tam, że to, co się robi na eksport, jest specjalnie selekcjonowane, a telewizory dosyć długo „leżakują”, no i wreszcie wybiera się dla nich najlepsze możliwe części. Ponadto dowie-

który idzie na wewnętrzny rynek składa się z części dostarczanych przez blisko 200 rozrzuconych po całym kraju fabryk. Różnego rodzaju transformatorów, lamp, diodek drobnych detali trafiają do Warszawy i Gdańska z terenu całego kraju. M. in. również i Łódź — Zakłady Elektrotechniczne T-4 składają się na gotowy „Smaragd”. Niestety, jak i o reszcie swoich kooperantów, tak i o „T-4” w Warszawie nie mają najlepszej opinii. Części dostarczane przez łódzką fabrykę są bardzo słabe, zdarza się, że ponad 50 proc. nie nadaje się w ogóle do użytku. Łódzian mogą tylko tym pocieszyć, że wśród krajowych „partaczun” fabryka „T-4” bynajmniej nie zajmuje najwyższego miejsca. Na czarnej liście znajdują się bowiem także nowoczesne kolosy, jak choćby Zakłady Lamp Radiowych im. Róży Luksemburg, których wyroby są tak delikatne... z winy wytwórców, że byłe wstrząs, nawet przy wewnętrznym fabrycznym transporcie, powoduje w nich uszkodzenia nie do naprawy.

Ale dlaczego te złe części używa się do montażu telewizorów? Dlaczego nie wdraża one pod „skalpel” kontroli technicznej i w końcowym efekcie nie ładują tam, gdzie powinny być — w skrzyni z brakami?

FATALIZM WIELKIEGO KLOPSU

Wydaje się, że działa tutaj magia sztywnych planów produkcyjnych oraz... zupełny brak odpowiedzialności. Zakłady telewizyjne są ściśle zobowiązane wykonać założone wskaźniki, z drugiej strony monopolistycznymi do stawcami części do telewizorów są fabryki, którym absolutnie nie zależy, by były one najlepszej jakości. Bo gotowy produkt jest firmowany przez warszawskie lub gdańskie zakłady telewizyjne, one odpowiadają. Poza tym wiadomo, że jeżeli któraś z tych

fabryk odmówi przyjęcia pewnej niedbale wykonanej partii części, to będzie musiała po prostu zatrzymać swoją produkcję, a to... jest niemożliwe.

W tej sytuacji nad produkcją telewizorów i radioaparatury w Warszawie i Gdańsku ciąży fatalizm przysłowiowego „wielkiego kłopsu”, nie może nie ich uszczęśliwić braków i niedociągnięć, a w końcowym efekcie krajowy nabywca otrzymuje aparaty złe, które „wysiadają” po dwóch dniach użytkowania.

CZY ON MUSI SIĘ PSUC

Ludzie związani z polskim przemysłem elektronicznym próbują lansować teoryjkę, że telewizor ma to do siebie, iż musi się... psuć. Na poparcie tej tezy przytaczają fakt, że angielskie „Paye” w 90 przypadkach na 100 zakupionych telewizorów również wracają do punktów naprawy. Obojętnie nie wierzę temu, gdyż z... bliskiej komitety i wieloletniego obcowania znam się z jednym „Payem”.

Wydaje mi się, że przysłowiowy pies leży gdzie indziej

pogrzebany, a nazywa się on: brak przestrzegania elementarnych wymogów technicznych, niedbalstwo i pospolite brakorobstwo. Pozwólcie, że znowu zacytuję fragment artykułu opublikowanego w tygodniku „Polityka”: „Raz w jednym ze sklepów ZURT-u w niesprzedanym jeszcze, a już nieczynnym telewizorze znaleziono karteczkę — „wymień kineskop”. Tyle, że zapomniano wymienić nie tylko lampę kineskopową, ale nawet wyjąć karteczkę”.

Co to wszystko znaczy?

Przekładając na ludzki język tajemnicze literki KT znaczy tylko to, że kontrola techniczna po prostu nie spełnia swoich obowiązków. Bo... bynajmniej nie jest ona zainteresowana w tym, by telewizor czy radioaparat zszedł z taśmy fabrycznej naprawdę gotowy do działania. Inaczej być zresztą nie może, jeżeli aparat kontroli technicznej jest podległy kierownictwu fabryki, o których opinii kształtuje się na podstawie wywiązywania się z ilościowych planów produkcyjnych. Sądze, że nikt mając na karku dyrektora, i będąc wprost od niego uzależniony, nie zaryzykuje oświadczenia, że ponad 50 proc. wyrobów pochodzi-

cych z fabryki, którą on zawiaduje, to zwyczajny „szmeł”. Zresztą pensja aparatu kontroli technicznej jest także wprost uzależniona od wykonania... ilościowych planów produkcyjnych przez fabrykę. Któż więc będzie go dził we własną kieszeń poprzez eliminowanie aparatów złej jakości, decyduje w gruncie rzeczy ilość, ilość aparatów przekazanych z fabryki do handlu. A reszta — niech się dzieje, jak chce.

Nie mogę nieestety, tego artykułu zakończyć optymistycznie. Od lat nie czyni się absolutnie żadnego kroku, by coś na tym polu zmieniło. A może jednak? Wysyłamy więc pilny telegram!

Zjednoczenie Przemysłu Elektronicznego — Warszawa.

KOCHANI DAWCY SZKŁANYCH EKRANÓW, ZROBIE WRESZCIE COŚ Z TYM FANTEM, BO W PRZECIWNYM RAZIE ZA LAT PIĘĆ BĘDZIECIE MIELI W JEDNEJ CZWARTEJ POLAKÓW OSOBISTYCH WROGÓW.

KRZYSZTOF POGORZELEC



Marzenie tysięcy. Za szybą wystawy lśnią kwadraty „zaczarowanych” skrzynek i domowe okienko no świat. Fot. W. Rozmysłowski

(Dokończenie ze str. 1).

Jakoś odbyło się w tym roku bez bezsensownych wygłupów, natomiast wszyscy zanotowali coś, co można uznać za poważny sukces Festiwalu: tym razem nie było widać dystansu między młodzieżą, która tu przyjechała z całej Polski a mieszkańcami Trójmiasta. Bawiono się razem — a bawiono się świetnie, razem oglądano występy teatrów, zespołów śpiewaczych i tanecznych, razem słuchano koncertów jazzowych i razem wieczorowo.

Na Westerplatte odbyła się potężna antywojenna manifestacja, w której obok społeczeństwa Wybrzeża wzięli udział wszyscy uczestnicy Festiwalu. Ten właśnie wieczór, spotkania z przedstawicielami partii i rządu zawsze ściągające dużo publiczności były również symptomatyczne dla Festiwalu. To, co tak dobitnie uwydatniło się we wszystkich prawie festiwalowych imprezach — demonstracja politycznej dojrzałości. Wcale to nie wyglądało sztywno i oficjalnie. Było po prostu świadectwem zrozumienia klęski wojny i urodzaju pokoju.

Festiwal Kulturalny Studentów w sposób bardzo wszechstronny pokazał dorobek kulturalny studentów. Obejmował on kilka zasadniczych cykli imprez, a więc: konkurs chórów, przegląd teatrów, przegląd zespołów jazzowych, konkurs piosenkarzy, ogólnopolski turniej tańca towarzyskiego, przeglądy zespołów tanecznych i zespołów pieśni i tańca. Oprócz tego odbył się symposium poetycki na który przyjechało wielu wybitnych poetów starszego pokolenia jak również literacka młodzież. Zobaczyć tego wszystkich nie mogłem. W ciągu 4 dni odbyło się około 130 imprez. Spróbujmy jednak choć częściowo zrelacjonować i opisać.

III.

Teatry przyjechały na Festiwal w imponującej liczbie 18. Obok bardzo znanych, słynnych i długo już żyjących — niemal weteranów studenckiego ruchu teatralnego zespoły, o których jeszcze przed rokiem zupełnie się nie słyszało, bardzo młode, często powstałe w niewielkich środowiskach akademickich. Ponieważ każdy prawie z teatrów przywiózł dwa, a niekiedy nawet trzy programy i ponieważ występowały one na znacznych przestrzeniach Trójmiasta zobaczanie ich wszystkich było absolutną niemożliwością. Co do mnie i tak ustanowiłem nieoficjalny rekord — obejrzałem bowiem dwadzieścia przedstawień.

Młody teatr gdański „Uwaga 61” przedstawił program „Wolanie do Mungu” złożony z ludowej poezji murzyńskiej.

Również gdański teatr „Kontrapunkt” wystąpił z polską poezją współczesną w programie „Człowiek w szarym ubraniu”. Teatr polityczny ze Szczecina pokazał program „Requiem”. I jeszcze wrocławski „Kalambur”,

gdańskie „Kabaly” i „Żak”, „Pandora” i wiele, wiele innych.

Wszystko jednak ginie przy dwóch programach STS z Warszawy, w których główne role gra Wojciech Siemion. Organizatorzy zresztą przewidzieli tę ogromną przewagę i oba programy wyłączyli z oficjalnej konkurencji. „Oskarżeni” i „Widowisko o Rudolffie Hoessie — wrogu ludzkości” pokazane zostały poza konkursem. Ten drugi program jest prawdziwie wstrząsający. Pisało się o nim już wiele, ale jego wartość są tak ogromne, że warto o nim przypominać wszędzie i przy każdej okazji. Dokumenty — fragmenty listów, publikystyki i zeznań sądowych komendanta oświęcimskiego obozu śmierci w ustach Wojciecha Siemiona brzmią przejmująco, przywracając całą autentyzm wojny i jej zbrodni. Siemion w genialny sposób uprawdopodobnił postać wielkiego zbrodniarza — pozwolił nam zrozumieć istnienie w psychice ludzkiej tak różnych uczuć jak miłość do zwierząt, przywiązanie do rodziny, ba, nawet współczucie dla swoich ofiar z zimnym, nie podlegającym chwilowemu choć wahanu dążeniem do wykonania rozkazu — mordowania ludzi. Hoess Siemiona budzi czasem obok nienawiści, przerażenia, zdumienia, że aż taki może być człowiek — także coś w rodzaju współczucia. Wielka kreacja i wielki aktor — jedyny zresztą, mimo że w widowisku występuje jeszcze siedmiu aktorów — i znakomity spektakl: sugestywny, spójny, znakomicie skonstruowany.

Politycznością nazwałbym cechę STS warszawskiego, który choć stracił mocno na swym studenckim charakterze i coraz częściej pokazuje w swoich programach aktorów zawodowych, to daje jednak programy odważne, wybitnie zaangażowane, potrzebne, żeby nie powiedzieć konieczne. Natomiast wyrażenie studencki charakter nosi rewią myśliwska „Wesoła dwururka” — trzeci program STS, który obejrzelśmy na Festiwalu. Poziom wykonawczy dużo słabszy, słabsze również teksty. Za to ze sceny bije młodość i humor, którego, niestety, brak starym, zawodowym teatrom satyryków. I tu spotykamy satyrę polityczną i społeczną, ostrą, odważną, choć czasem dość dwuznaczną w wymowie. Do tej nie należy jednak najlepszy chyba black-out w całym programie: Na scenie przed kurtyną stoi wspierając się ramionami dwóch młodych ludzi. Obaj mają wyciągnięte do przodu i wzniesione w górę lewe nogi. Jeden jęczy i wzdycha. Na to drugi: „Nie narzekaj, dobrze, że nam drugiej nie podnieśli”.

Ze „Spowiedzi ehuligana” Sergiusza Jesienina krakowski „Teatr 38” zrobił widowisko poetyckie grane przez czterech aktorów w interesującej, choć bardzo oszczędnej scenografii, przy z reguły zbyt ciemnych światłach. Wykonawcy a zarazem reżyserzy programu demonstrowa-

ja wcale nie amatorski warsztat aktorski, kilka dobrych pomysłów, prawdziwe odczucie recytowanego wiersza i... na tym się walory spektaklu chyba kończą. Pięć lat już sobie liczący „Teatr 38” miał na pewno lepsze inscenizacje. Całość bowiem „Spowiedzi ehuligana” mimo wszystkich poprawności i mimo, że nie właściwie w spektaklu nie razi, jest zbyt nużąca i po prostu mówiąc nieco nudnawa nawet dla miłośnika poezji.

Bardzo różne uczucia budzi program „Białe zwierzęta” pokazany przez cyrk rodziny Afanasjew. W grzmiącej przemowie, którą na początku programu wygłasza mistrz Afanasjew, znajduje się zapowiedź cyrku ludzi biednych, wskrzeszenia teatru waganów. Całość zaś składa się z kilku bardzo luźno związanych numerów oraz filmu „Białe zwierzęta”. Wszystko to podane jest w gestym sosie udziwnienia, w nastroju ponurym. W dodatku sam film o dziecinnie prostej konstrukcji zawierający rzeczywiście kilka świetnych sekwencji — film niemy ilustrowany tylko muzyką, jest bardzo dobitnie, lapatologicznie wytłumaczony przez odczyt zawartą w programie przedstawienia. Bardzo wątpliwe, czy jest potrzeba społeczna robienia takich przedstawień. Obawiam się, że tego rodzaju formy twórczości istnieją tylko na podstawie uznania ich przez niewielką garskę snobów, a i to w dodatku należących



Przed gdańskim klubem „Żaczek” codziennie brzmiał sygnał festiwalu

program zaś kipi od świetnych, dowcipnych a jednocześnie b. prostych pomysłów i jest kwitowany oklaskami przy otwartej kurtynie.

Łódź reprezentowały na festiwalowym przeglądzie trzy teatry studenckie. Najmłodszy z nich rozpoczął swoją pracę od razu od Witkacego. Sztuka „Szewcy” wykonana przez Teatr PWSSP, mimo nagród jakie zdobyła, nie wydaje mi się przedstawieniem godnym po-

operetkę historyczną Machejki i Hertla.

Drugi program „Pstraga” zawiera wiersze i songi Brechta. Program ten zdobył sobie już wielką sławę. Jej miara niech będzie fakt, że na przedstawienie przybyły tłumnie oficjalne osobistości z wicepremierem Szkolnictw Wyższego Eugeniją Krassowską na czele. Songi i wiersze Bertholda Brechta w reżyserii Skotnickiego i scenografii Poulaina są przedstawieniem dość nierównym, może dlatego, że występuje w nim wielu debiutantów. Poza pierwszą częścią „Rozbiórka statku „Oskawa” wyraźnie najslabsza, następują trzy następne obrazy robiące duże wrażenie swoją dynamiką i sugestywnością. W tych jednak walorach tkwią według mnie korzenie zła. Spektakl jest „przejałnowany”. Zbyt mocno starano się aby słowa ze sceny padały dobitnie, a nawet brutalnie. Owszem, padają właśnie w ten sposób, ale ze zbyt wyraźną przesadą, te reżyserskie starania są aż nadto widoczne i przez to właśnie spektakl nabiera cech jednostronności, co jest jego poważną, choć może jedyną słabością. Omówiony wyżej program „Pstraga” jest w pewnym sensie symptomem dla całego przeglądu teatrów studenckich. Na pewno nie jest przypadkiem żywe zainteresowanie się studentów sprawami świata współczesnego, problemami politycznymi. Z festiwalowych scen niejednokrotnie padały mocne słowa przeciw wojnie, przeciw kolonializmowi, padały słowa zupełnie jednoznacznie określające postawę młodzieży i chyba ostatecznie rozwiewające mit o jej apolityczności. A ponieważ szło to w parze z niejednokrotnie wysokim poziomem i dojrzałością artystyczną — myślę, że właśnie tę cechę uznamy za największy pozytywny.

IV.

Poetów było wielu, a miało być podobno jeszcze więcej. Był przede wszystkim i dwukrotnie spotkał się ze swoimi czytelnikami Władysław Broniewski. Byli Julian Przybós, Artur Międzyrzecki i Anatol Stern. A oprócz nich było jeszcze wielu młodych poetów przeważnie z Warszawy. Ci, jak opowiadano, i jak oni sami opowiadali, dawali się widzieć dość rzadko, a czas spędzali w sposób podobno niesłychanie zapładniający, choć trochę męczący. Jak — tego dokładnie wyjaśnić nie będę — zaprotestuję tylko przeciwko pogłoskom jakoby widziano ich kroczących ulicami i wznoszących hasła na cześć miesięcznika „Trzeźwość”. Poeci zachowywali się dziwnie i nieco niesamowicie: byli mianowicie wielcy. Tłumaczyli to komu się dało, a

mimo to nie mam wrażenia, że społeczeństwo Wybrzeża wyszło z tej opresji zupełnie przekonane. I to jest wrażenie bardzo pocieszające. Poeci poza tym byli dość męczący w codziennym obcowaniu. W trzecim dniu Festiwalu wśród wielu innych wieczorów autorskich odbył się wieczór Sławomira Kryski, Bogdana Justynowicza i mój. Skromnie więc przeczytaliśmy po czterech wierszyki, skromnie poczekaliśmy 5 minut na dyskusję. Ale jedyny mówca powiedział tylko, że na sali jest gdańskim poetą Fac i że może on również zechce przeczytać jakiś wiersz. Na to podniósł się poeta Fac i wyjaśnił, że autorem tej demaskatorskiej wypowiedzi był gdański poeta Czychowski, więc może on sam również przeczyta swój wiersz. Później już na nie czekając zaczęli czytać poeci gdańscy swoje wiersze i czytali je przez długie godziny. Wobec czego ci poeci, na których część urządzony był wieczór autorski skromnie się podnieśli i po cichu wynieśli, byli bowiem bardzo znużeni.

Tacy byli poeci. A oprócz nich był jeszcze, lub raczej był przede wszystkim, młody łódzki laureat, którego widziano na wszystkich ulicach Gdańska, Gdyni i Sopotu jak żywo gestykulując przekonywał o swoich głębokich racjach rzeczywistych i urojonych przeciwników posługując się przy tym artystyczną jednodniówką. Czy napadał przygodnych ludzi — nie wiadomo.

V.

Mówiąc poważnie Gdańsk przez 4 dni żył wesołym i niefrasobliwym nastrojem przelewającym się przez ulice, dobrymi spektaklami, teatralnymi, dobrym jazzem, śpiewem i tańcami. Tłum był młody, wznosił okrzyki przeważnie na swoją cześć, owacyjnie przyjmował tych którzy dostarczali mu zdrowej i dowcipnej rozrywki lub prawdziwego artystycznego wzruszenia. A było tych wzruszeń sporo. I tym trzecim ważnym pozytywnym wypadem sprawozdanie ze Studenckiego Festiwalu zakończyć.

MAREK WAWRZKIEWICZ
Zdjęcia: W. MACHEJKO

odpisy str. 5

UŚMIECHNIJ SIĘ!

do grupy ludzi, na których oddziaływałby tzw. cywilizacja „Przekroju”. Mam wrażenie, że program „Białe zwierzęta” wyraźnie potwierdził i wykazał żalosną jednostronność afanasjewowej groteski i liryki.

Gdański teatrzyk rąk „Co to” dał w ślicznej sali sopockiego teatru kameralnego uroczysty program. Grają w nim ręce, nagie lub ubrane w kolorowe rękawiczki oraz kilka prostych akcesoriów — parasol, dwa kółka imitujące rower, potwornie wielkie bućki symbolizujące milicjanta i jeszcze kilka innych. Wszystko to gra bardzo figlarnie i bardzo sprawnie,

kazania na szerszym forum, a już najmniej na tak reprezentacyjnym Festiwalu. Sztuka jest dość bezsensownie pokrojona i równie bezsensownie posklejana, a o wykonaniu nie można jeszcze zbyt poważnie mówić.

Nieco lepiej zaprezentował się teatrzyk Akademii Medycznej „Cytryna” który wyładował w Gdańsku z „Kłopotliwą historią” i programem złożonym z XVII-wiecznej satyry pt. „Na tych co młodo szaleją”. Zdaniem prasy odbywa spektakle były przychylnie przyjęte przez publiczność.

Specjalnie na koniec zostawiłem sobie „Pstraga” — ten bowiem reprezentował nasze miasto najchlubniej i był jednym z tych bardzo nielicznych teatrzyków, których przedstawienia miały kompletny na widowni. Wycozn to niebawem przy tak ogromnej konkurencji. Z dwóch programów które „Pstrag” pokazał w Gdańsku mimo wszystko podobała mi się bardziej składanka satyryczna „Niemożliwości stało się zadość”. Tu również roi się od celnej satyry politycznej, wywołującej żywy odzew na widowni, i tu — to chyba przede wszystkim — jest kilka świetnych piosenek spółki Słowikowski — Hertel, którym trzeba rokowac popularność przynajmniej na miarę „Parasolek”. Po pierwszej części programu „Karnawał w małym miasteczku” w której zobaczyliśmy całą starą gwardię pstragową oraz b. dobrego Jerzego Pieczyńskiego, pokazano nam bardzo dowcipną



W rewii warszawskiego STS brał udział studencki balecik...



Maria Białobrzaska jako Zośka i Ignacy Machowski w roli Mikolaja w „Ucieczkach” Włodzimierza Sokorskiego. Fot. G. Puciato

ZBIGNIEW NIENACKI

UCIECZKI DO NIKĄD

„Ucieczki” Włodzimierza Sokorskiego są chyba bardzo niedobrą sztuką. A są niedobre dlatego, że niewiele mają wspólnego z teatrem i mimo wszystkie wysiłki autora, brakuje w nich rzeczywiście dramatu. „Ucieczki” Sokorskiego, to w gruncie rzeczy tylko obrazki rozpisane na głosy, jeszcze raz potwierdzające znaną tezę, że w teatrze nie wystarczy, gdy dwóch ludzi rozmawia i nawet grozi sobie rewolwerem; na scenie powinno się coś dziać, mało tego, to co się tam dzieje, musi nas obchodzić. U Sokorskiego padają w sztuce strzały i nawet trup się ścieli, a przecież jednocześnie nie się w jego sztuce nie dzieje. Autor jak by zlekceważył zupełnie nauki wypływające z teorii dramatu, zbudował linię akcji zapominając, że równocześnie należało nakreślić linię kontrakcji, każdemu zdarzeniu po jednej stronie winno odpowiadać kontrzdarzenie po stronie drugiej; w rezultacie nie ma w „Ucieczkach” rzeczywistej akcji, brakuje perypeti, sztuka jest nudna choć strzelają z rewolweru. Najciekawsze sprawy stały się w „vorge-sichte”, poza sceną, kiedyś tam przed kilkunastu laty — i to jest chyba drugi błąd dramaturga. Na takie lekkieważenie zasad dramatu pozwolił sobie może tylko dramatopisarz operujący najbardziej nowoczesnym rzemiosłem, u niego może nie się nie dzieć, bo jednocześnie wszystko odbywa się w sferze metafory lub we wnętrzu ludzkim. Sokorski dał jednak sztuczce werystyczną, opowiedział się za określoną konwencją, równocześnie lekce ją sobie wa-

żąc. W skutkach okazało się to bardzo niepomysłne. Najwyraźniej widać to, gdy próbujemy opowiedzieć treść sztuki. Wówczas ujawniają się dramatyczne i psychologiczne fałszy. „Ucieczki”; sztuka Sokorskiego okazuje się nie tylko nie ciekawa, ale i niezrozumiała.

... Pewnego dnia w mieszkaniu Stefana (Seweryn Butrym), po dwudziestoletniej tułaczce na obczyźnie pojawia się Mikolaj (Ignacy Machowski), przedwojenny przyjaciel Stefana, a obecnie jego teść. Stefan bowiem ożenił się z Ewą, córką Mikolaja. Przez całą sztukę nie wiadomo kim jest ów Stefan, raz mówi się o tym, że jest jakimś wysoko postawioną osobistością, innym razem wynika, że jest adwokatem, bo chce się podjąć obronę Mikolaja, gdy ten po pełni zabójstwo. Jednocześnie sugeruje się, że Stefan to komunista i coś go tam kiedyś łączyło z Ewą Mikolaja, choć Stefan temu zaprzecza. Nie w tej sprawie nie wiemy aż do końca.

A co nam wiadomo? Żona Mikolaja, Bronka, zginęła podczas okupacji, zabita przez bandę, która przyszła do jej mieszkania, aby wykonać wyrok na Mikolaju, ponieważ Mikolaj uchodził za komunistę, a w domu jego żony nawiązywano kontakty z radziecką partyzantką. Nie zastali Mikolaja, bo on tymczasem uciekł z kraju i powędrował z armią Andersa. Wszystko to oczywiście chyba na zasadzie fikcji literackiej, bo cóż za młerne rozeznanie miała owa banda, wydająca wyrok śmierci na człowieka, którego nie było. Jak uczy historia, musiał dawno wywalczyć kraj, jeśli bierze się pod uwagę, że działalność radzieckiej partyzantki rozpoczęła się dopiero po 1941 roku. W każdym bądź razie banda znalazła się w domu Mikolaja, zdziwiła się, że go nie ma

i zabiła jego żonę, Bronkę, która podobno była rzeczywiście komunistką.

Po dwudziestu latach zjawia się w Polsce Mikolaj. Po co? Tego nikt nie wie. Ani on sam, ani autor, ani widzowie. Powtórza Mikolaj że przyjechał, aby spotkać swego niedoszłego mordercę, bo przecież to Mikolaj przyszedł zabić, a nie Bronkę. Wszystko to absolutnie niejasne, nieczytelne.

Spotkanie dwóch byłych przyjaciół po dwudziestu latach niewidzenia jest wrogiem i zupełnie nie wiemy dlaczego. Normalnie w takich razach ludzie padają sobie w ramiona, nawet wówczas, gdy to i owo ich dzieli. U Sokorskiego o mało nie dochodzi do bójki. Chcemy się domyślać, że może Stefan coś tam w przeszłości zawińił Mikolajowi i teraz ział się jego przyjazdu. Lecz nie, nie takiego się nie okazuje. Pozostajemy pełni niezrozumienia i z takim uczuciem opuszczamy teatr.

Bo dalej wszystko jest proste i łatwe. Szczególnie dla autora Bohater idzie do knajpy, od razu spotyka mordercę swej żony, ten mu się do wszystkiego przyznaje, potem chce go zabić, nie może, więc bohater odbiera mu rewolwer i zabija swego niedoszłego mordercę. Później Mikolaj zjawia się z powrotem u Stefana, przyznaje się do zabójstwa, Stefan pragnie go wydać w ręce prokuratora, albowiem ma zasadę, lecz też nie może tego uczynić. Mikolaj opuszcza dom Stefana i wpada pod samochód. Żeby nie było żadnego problemu.

Autor wskrzesił w swej

sztuce dawno zapomniany chwyt noszący ongiś nazwę „deus ex machina”. Kiedy mu coś jest potrzebne, nagle to „coś” zjawia się na scenie. Gdyby nie zrzęcość aktorska Machowskiego, dopiero w drugim akcie ni stąd ni z owąd dowiedzielibyśmy się, że Mikolaj to człowiek zmarowany, nałogowy alkoholik. Pod koniec sztuki nie wiadomo na jakiej podstawie okazuje się, że żona Stefana, Ewa (Danuta Mniowska), źle się czuje w domu swego męża, a to dlatego, że ma mu wszystko do zawdzięczenia. Nie rozumiemy dlaczego mówi się o tym pod koniec sztuki, podczas gdy w pierwszym akcie wynikało coś przeciwnego. Samochód w końcu sztuki to oczywiście klasyczny „deus ex machina”, podobny do owego Pana Boga, który w starych sztukach ni stąd ni z owąd zjawiał się na scenie, aby rozwiązać wszystkie konflikty.

Co chciał powiedzieć Sokorski poprzez swoją sztukę? Być może pragnął uodowodnić nam, że dla ludzi typu Mikolaja nie ma powrotu do przeszłości. Napisałem „dla ludzi typu Mikolaja”. Lecz w sztuce nie o Mikolaju nie wiemy. Kim był? Dlaczego wyjechał z Polski? Dlaczego tak długo nie wracał? Dlaczego nie lubi Stefana? Dlaczego źle mówi o swej żonie? Dlaczego chce zabić mordercę swej żony?

Nie wiemy także, dlaczego zabił Wiktora, swego niedoszłego zabójcę. Przecież nie można na serlo traktować argumentacji, która pada w sztuce, że „ludzie, którzy wiedzą o sobie wszystko, nie mogą żyć obok siebie”. Takie zdanie nie nie znaczy, można powiedzieć odwrotnie i też będzie dobrze. Nie także nie znaczą zdania w rodzaju: „Samotność, od której nie ma powrotu” czy „wypadki chodzą po ludziach”. Od takich zwrotów aż roi się w „Ucieczkach”.

Jest w sztuce jedna dobra scena — w knajpie. Dialogi pijaków — doskonale. I naprawdę kawałek prawdziwej Polski, w której obok siebie żyje jako zamożny właściciel samochodu, były członek bandy wypuszczony z więzienia, i ten, który go kiedyś aresztował, były ornowiec. Czasami, tak jak w sztuce Sokorskiego, ci dwaj dawni wrogowie popijają razem wódkę, czasem jak w filmie „Ostatni strzał”, dochodzi między nimi do ponownego konfliktu.

Trzeba przyznać, że aktorstwo w „Ucieczkach” było na wysokim poziomie. Szczególnie taką właśnie wydawała mi się gra Ignacego Machowskiego, Wojciecha Piłarskiego jako Wiktora, i Bogdana Baera jako Szymona — ornowca. Bohdana Majda nie znalazła chyba dla siebie właściwej roli, to samo myśle o Danucie Mniowskiej, odtwarzającej postać Ewy. Ciekawiej wypadła Maria Białobrzaska jako Zośka: była w miarę prostacka, sprytna i uwodziecielska — taka, jak na kazywała rola, Seweryn Butrym zagrał Stefana, bardzo starannie a jeśli nie nadał swej postaci barwności i życia, to tylko z winy autora sztuki.

W epizodycznych scenkach jako milicjanci wystąpili: Edward Wichura, Marian Stanisławski i Konrad Laszewski.

O reżyserii sztuki dokonanej przez Seweryna Butryma chciałoby się powiedzieć, że mogła być bardziej wartka, szczególnie w pierwszym akcie. Nie jestem jednak przekonany, czy ocena taka byłaby całkowicie sprawiedliwa, ponieważ sama sztuka ma bardzo powolne tempo.

Scenografia Iwony Zaborowskiej okazała się interesująca. Wprowadzone na scenę zastawki dobrze harmonizują z werystyczną konwencją całości.

* Mała sala Państwowego Teatru Nowego. Prapremiera.

JERZY WILMAŃSKI

O TYCH,

○ Koniec kaganka oświaty □ Nie przeszkodzi kiepski samochód ○ Poprawmy Uniwersytety Powszechne □ Ulubieńcy publiczności ○ Dobre pomysły.

Najpierw chciałem napisać felieton w stylu heroiczno-romantycznym. A więc przemoknięty prelegent na błotnistej drodze. Zepsuty samochód, noclegi w stodółach lub zgoła pod wierzbą przydrożną. I jeszcze oświaty kaganiec wnoszony do nieopalanego strażackich remiz oświecanych kopcącą lampką naftową...

No cóż, to też jakaś prawda o ludziach z Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Tylko że o odległych początkach działalności. Prawda dnia dzisiejszego jest inna. Co — rzecz prosta — nie znaczy, że dziś deszcz nie ma zwyczaju padać na głowy prelegentów, albo samochód przestał się psuć. Jest z nim niemal kłopotu. Meteorolodzy bowiem w miarę upływu lat coraz trafniej potrafią przewidzieć kaprysy pogody, a niestety, pracujący już od 14 lat dla upowszechniania wiedzy wysłużony „Renault” nie chce się jakoś z roku na rok poprawić.

A jednak prawda dnia dzisiejszego jest optymistyczna. Dlaczego? Otóż zrodziła się w TWP koncepcja dobra i nader prosta. Należy — powiedziano sobie — pracować nie z przypadkowym słuchaczem, lecz stałym. Stąd mniej przypadkowych, jednostkowych prelekcji, a więcej stałych i cyklicznych. Tak, właśnie zrodziła się idea uniwersytetów powszechnych.

5 lat temu w bólach wyłęgło się w naszym województwie kilka uniwersytetów. Potem już każdy rok dorzucał nowe. Dziś jest ich 125. Mówię o samych tylko wsiach i miasteczkach województwa, bowiem Łódź liczy ponad 30 uniwersytetów powszechnych. Ale to już osobny rachunek.

Nieraz słyszy się na temat uniwersytetów ironiczne uwagi dotyczące samej nazwy. Niby, że jest megalomańska. Sądzę jednak, że ta pożyteczna instytucja zasługuje na to wysokie miano.

Rola uniwersytetów w aktywizacji kulturalnej środowiska jest olbrzymia. Dla ludzi, którzy z tych czy innych powodów nie mogli zdobyć wykształcenia wyż-

szego, niż, powiedzmy, podstawowe, TWP-owskie cykle wykładów czy prelekcji mają właśnie rangę uniwersytetu. A zresztą czemu kursy TWP nie mają nosić tego miana skoro co dzień w naszym lubującym się w górnym brzmieniu kraju odbywa się kilka „sejmików” czy „sejmików” różnych hodowców ryb w akwarium czy plantatorów rzepaku? Znaczenie i ranga TWP-owskich kursów jest przecież stokrotnie większa...

Dyskusyjny jest natomiast fakt, że ponad 60 proc. tematyki uniwersytetów dotyczy rolnictwa. Zagadnienia powiedzmy paszoznawstwa czy fizjologii roślin są na pewno ważne, ale czy nie można by tych tematów równoważyć prelekcjami na inne atrakcyjne tematy? Zwłaszcza, że ostatnie osiągnięcia nauki tematów takich nastroczają sporo. Nie idzie przecież o taną sensację, ale proszę pomyśleć: w pewnej wsi na odczyt pt. „Świat istot niewidzialnych” zwailli niemal wszyscy mieszkańcy. Kiedy jednak prelegent zaczął mówić o bakteriach zapanowała konsternacja... spodziewano się odczytu o... duchach, zjawach, itp.

Fakt jest autentyczny i o czymś przecie świadczy. Ludzie chcieliby się dowiedzieć o sprawach, których których wyjaśnienia nie znajdują w rodzinnej wsi czy miasteczku. Więc może by jednak spróbować... telepatia choćby, jest dziś już przecie dyscypliną naukową. „Fakty i myśli” publikują na ten temat cykl artykułów i sądzę, że nie dla taniej sensacji a dla ugruntowania racjonalistycznego, naukowego poglądu na świat. Trzeba tylko umiejętnie użyć duchów, przesądów i zabobonów do walki z nimi samymi.

Nie jest chyba również dobrze jeśli na uniwersytecie o kierunku pedagogicznym tematyka literacka zajmuje zaledwie... dziewięć godzin, a na uniwersytecie o kierunku ogólnospołecznym... 24, co stanowi naprawdę znikomy procent w



co przepędzają duchy i niewiedzę

stosunku do reszty wykładanych zagadnień.

Możliwe, że literatura nie cieszy się największym wzięciem wśród słuchaczy, ale czy winą nie leży między innymi i po stronie TWP — ściślej mówiąc — po stronie być może zrutyzowanych prelegentów? W odpowiednim dokumencie czytamy: „Seksja literacka mimo, że jest dość liczna i posiada ukształtowane prezydium nie odbywała regularnych posiedzeń ze względu na ambicjonalno-prestizżowych”. To świadczy chyba o nienajlepszym stosunku rzeczonych prelegentów zarówno do samej pracy odczytowej jak i słuchacza. Cieszyłbym się, gdyby było inaczej.

Jeśli idzie o inne sekcje naukowe TWP, to ich praca zasługuje na naprawdę wysoką ocenę. Niebagatelny jest tu fakt, że kierownikami owych sekcji są z reguły pracownicy nauki (lektorzy, katedry, docenci) i że ich wykładom, co w sposób oczywisty gwarantuje odpowiedni poziom. Rzecz prosta, taki zespół może zapewnić słuchaczowi maksimum informacji na określony temat, informacji podanych w sposób przystępny i ciekawy. Pracownicy TWP opowiadają, że słuchacze mają już swoich ulubieńców, chcą po prostu prelegenta iksińskiego, a obojętny jest im temat prelekcji.

Do takich właśnie „wziętych” prelegentów zalicza się jeden z najstarszych stażem pracowników Towarzystwa — pracujący już 10 lat, dr Henryk Zalech. Dr Zalech, lekarz młodszego pokolenia, jeszcze jako student Akademii Medycznej podróżował z ramienia TWP po wioskach i miasteczkach województwa z odczytami z dziedziny biologii, higieny... Mówi ciekawie, przystępnie, dowcipnie, nie wiec dziwnego, że słuchacze z niecierpliwością oczekują zawsze na przyjazd „ich doktora”.

Starczy pracownicy Towarzystwa lubią również opowiadać anegdoty związane z przyjęciem do pracy jednej z najmłodszych prelegentek TWP, p. Krystyny Serejskiej. Otóż 4 lata temu do viceprzewodniczącej zarządu wojewódzkiego pani Niezabitowskiej, zgłosiła się młodziutka dziewczynka z pytaniem, czy mogłaby pracować w charakterze prelegenta. Viceprzewodnicząca przekonana, że ma przed sobą uczennicę szkoły średniej zadana jedynie właściwe w tej sytuacji pytanie: „do której klasy, dziecko, chodzisz?” Wtedy to „dziecko” wywołało prawdziwą konsternację... okazując... dyplom magistra filologii polskiej.

I tak już 4 lata mgr Serejska, choć wygląda na licealistkę, doskonale radzi sobie ze słuchaczami różnych środowisk i od początku zalicza się do grupy „wziętych” prelegentów. Takich właśnie zdolnych prelegentów umiających trafić do często nie przygotowanego słuchacza musi być w TWP sporo. Jeśli w roku ubiegłym wygłoszono około

2.000 odczytów na terenie województwa, a w jednym tylko kwartale w Łodzi prawie 230. Dodajmy jeszcze, bo to ważne, że przeciętna frekwencja na TWP-owskim odczycie waha się w granicach 60 osób. W Łodzi, w lektoriatyach dzielnicowych TWP jest nawet lepiej — 85 osób.

Lektoria to też świetny pomysł. Raz tygodniowo zawsze tego samego dnia, zawsze w tym samym lokalu o stałej godzinie odbywają się prelekcje na tematy polityczne, literackie i wreszcie okolicznościowe... Ludzie przyzwyczajają się do lokalu, dnia, godziny. Dlatego też frekwencja taka duża. Naprawdę na brak świetnych pomysłów działaczy TWP narzekać nie można.

W miastach starych, o tradycjach kilkusetletnich postanowiono w inny, dosyć sobie chytry sposób podejść do mieszkańców. Któryż bowiem z mieszkańców Łowicza, Łęczycy czy Piotrkowa nie da się złapać na haczyk lokalnego patriotyzmu? TWP zorganizowało zatem Studium Regionalne w tych to właśnie miastach. Nie trudno zgadnąć jakim dużym powodzeniem cieszą się te cykle wykładów.

Niebywałym powodzeniem cieszą się także TWP-owskie placówki kulturalno-oświatowe wśród... Inspektoratów Oświaty. I to do tego stopnia, że panowie inspektorzy uprawiają nawet swego rodzaju kaperownictwo. Ktoś mógłby pomyśleć że ta „szlachetna dyscyplina” istnieje tylko w sporcie. Niestety, i przy upowszechnianiu kultury.

Otóż historia wygląda w ten sposób, że z reguły sekretarzami zarządów powiatowych TWP są nauczyciele, często nawet dyrektorzy szkół. Podlegają więc jako tacy Inspektoratom Oświaty. Te zaś mają pieniądze na prowadzenie w terenie placówek kulturalno-oświatowych i nader chętnie przejmują te zorganizowane już przez działaczy TWP. Przejmują, gdyż nauczycielom-sekretarzom TWP nie uśmiechają się przecież wcale targi czy choćby tylko „kwas” ze swojej władzy. Zjawisko jest dość masowe, bo wypadki „kulturalnego kaperownictwa” notujemy i w Skierniewickim i w Wieluńskim i w innych powiatach także. Czyli jak widać konkurencja czuwa i gruszek w popiele nie zasypia.

O TWP naprawdę można pisać nieskończenie. O nauce języków obcych (prawie 90 kursów), o poradni pedagogiczno-psychologicznej, o zjazdach absolwentów uniwersytetów powszechnych... słowem o tym całym skomplikowanym, niebywale rozbudowanym aparacie łodzi, pomysłów, pasji. Aparacie, który obok innych instytucji realizuje hasło: „Polska krajem ludzi kształcących się”.

JERZY WILMAŃSKI

LITERACKI KLUB MŁODYCH

Poeeci prezentowani na tej kolumnie działają w zorganizowanym wiosną bieżącego roku przy łódzkim Oddziale Związku Literatów Polskich — Literackim Klubie Młodych.

Wbrew temu, co się ostatnio obserwuje w ruchu młodzieży literackiej, Klub Młodych nie jest grupą o wąsko zakreślonych poglądach ideowo-artystycznych. Liberalizm jest jedną z zasad Klubu. Stąd sytuacja, że na przykład niektórzy członkowie LKM są jednocześnie członkami grupy „Nowa Linia”, inni znów członkami Korespondencyjnego Klubu Młodych przy Zarządzie Głównym ZMW.

Jednym z poważniejszych zamierzeń Klubu jest opra-

cowanie i wydanie almanachu młodych twórców Łodzi. Znalazłaby tam miejsce zarówno poezja i proza jak i plastyka. Almanach jest jednak zamierzeniem dość odległym. Na co dzień i na bieżąco literacki Klub Młodych organizuje otwarte spotkania literackie, które cieszą się sporym zainteresowaniem.

Nie od rzeczy będzie dodać, że na dwunastu członków Klubu połowa bądź już ma za sobą publikację książki, bądź jest w przededniu ich wydania. Wszyscy biorą żywy udział w ruchu literackim, czego dowodem są zarówno publikacje w prasie centralnej jak i nagrody na konkursach poetyckich.

JERZY TYNECKI

Z Lermontowa

Smutno mi, bo ja kocham Ciebie,
I wiem: kwitnąca dziś nie wglądasz w siebie,
Ze młodość Twoja Cię nie chroni;
Nie szczędząc jej obmowa zgoni
I zgasi Twą niewinność przebiegłym swoim technieniem
Za każdy jasny dzień, za światłe oka mgnienie
Dołącz też i goręczy Twój los odbierze sobie
Smutno mi więc, że jest wesoło Tobie.



JERZY WILMAŃSKI

Wiosna przerażonego

Dłonie opadną w polowie niespełnionego gestu
A może tam za rzekę, a może w cień drzew
Wiosna standartowa marszczy zieloną brew.
Spocony strach się zbliża, nadechodzi i już jest tu
Więc może tam za rzekę, więc może w cień drzew
Pozwólmy zakwitać faktem, tkanie niech draży czerw.



ROBERT GLUTH

EWA DĄBROWSKA

Zdarzenie z cieniem

Weźmiemy świecznik i pójdziemy wysoko po schodach
między pajęczyn i sznury i suszące się prześcieradła
po dwóch stronach my dwoje pośrodku mój cień
gdy odejdziemy cień zostanie sam niewidoczny uwieczniony

nie wracaj już na ten strych
kto wie ile było tam już świeczników ile kroków
ile cieni

WŁODZIMIERZ
ŁUSZCZYKIEWICZ

Mjg gra „Memory of Django”

po bruzdach
ogorzałej cygańskiej gęby
i prask na klawiszach
karawanu z muzyką
cztery krwawiące rany
grają piątą która odeszła
czterdzieści czarnych paluchów
śpiewa trzem
co były szaleństwem.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Epika

Więc gdy się zbudzi będzie leżał cichy
w strzelistym lesie placzu nawleczony w pierścieni
z krwawnikowym okiem które w blasku świeci
Więc gdy się nie zbudzi ziemia obrót zwiększy
dokoła rak zwiniętych a pieczęć cichości
uniesie mu kąt ust w tak czułym uśmiechu
Więc gdy się nie zbudzi zamkna mu powieki
dotykem białych palców aby w siebie patrzył
tam gdzie go już nie ma skąd on z żalem odszedł
Więc gdy się nie zbudzi wzniosą go ramiona
otworzą mu ziemię i w ziemię go wrzucą na jego
smutek martwy na radość robakom.

List
z Krakowa

JANUSZ ROSZKO

Mi- chalik na 102

Zaczęło się wszystko tradycyjnie — od ulicy. Szlak, gdzie pół wieku temu „pełna gracji, zacna słodka” — żyła sobie stara ciotka, czyli profesor Tarnowski, rutynowany korepetytor niegrzecznej literatury polskiej. Na tymże Szlaku, w tym samym domu, a raczej pałacu — znalazło siedzibę Polskie Radio i tamże udało się trzech autorów, którzy napisali teksty krakowskiej szopki. Przyjął ich dyrektor, szopkę zakwalifikował i „puścił na antenę”.

Równocześnie w podówcach niedawno otwartej po remoncie kawiarni Michalik, w przesławnej Jamie, działy się rzeczy straszne — gorsze ponoć od przybyszewszczyzny, tudzież historii najbardziej wyuzdanych na jakie stać było Kraków w ubiegłym półwieczu. Inwazja kociałów o całkiem miłych kształtach, opiętych w jersey, które podbiły całą Jamę mocą swoich wdzięków. Z kolei przy pomocy wdzięków podbić zostali panowie klienci

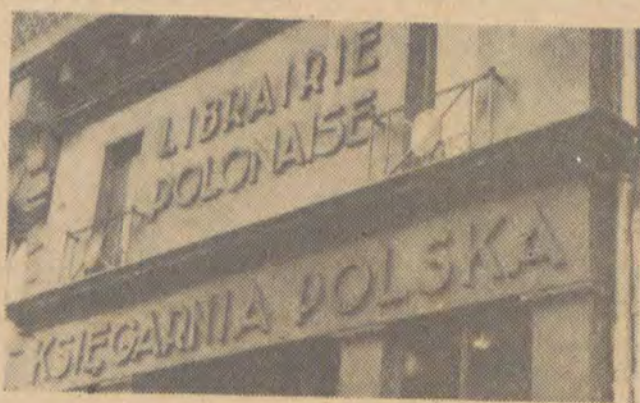
i ich portfele. a kierownictwo lokalu razem z milicją nie mogło sobie z tym niedwuznacznym procederem dać rady.
W remont Jamy włożono 3 i pół miliona złotych, nie po to, aby dać lokal córcom Koryntu. Dziwna jest rzecz, że one właśnie tak szaleńczo ukończyły ten lokal z tradycją „Zielonego Balonika” o ścianach zawieszonych przedziwnymi malowidłami Frycza, Siehulskiego i Jarockiego, na których brodac

członkowie Bohemy, gubiąc binokle, pędzą w przestworzach ponad uśpionym Krakowem. Kukielki z szopki A. D. 1907 drzemały sobie spokojnie w gablotach, drze-

(Dokończenie na stronie 8)

odqTosip





Księgarnia polska w Paryżu

QUARTIER LATIN

Nie mówi się „professeur” lecz „prof”. Nie mówi się „faculté” lecz „fac”. Nie „Boulevard St. Michel” lecz „Boul-Mich”. Taki język obowiązuje w Dzielnicy Łacińskiej (lub po prostu — w „Dzielnicy”). I właśnie „Boul-Mich” jest osi, pryncypalną ulicą tego miasta w mieście, równikiem świata studenckiego Paryża. Słowo „świat” jest tu zupełnie usprawiedliwione — jak wskazują statystyki, w Quartier Latin są reprezentowane wszystkie narodowości.

Quartier Latin, to dzielnica, w której znajdziemy niemal wszystkie wyższe uczelnie i zakłady naukowe Paryża. Tutaj co drugi napotkany przechodzień jest studentem lub pracownikiem naukowym.

Drugą pod względem liczebności grupą bywalców Dzielnicy to — artyści; ci skupiają się przede wszystkim w okolicach Montparnasse. Oczywiście, nie należy stąd wnioskować, iż wszyscy bywalcy „Cafe Select” i pobliskich kafelek mają wiele wspólnego ze Sztuką. Ot, po prostu prowadzą „artyści” tryb życia. Faktem jest, że gdy zawierałem moją pierwszą znajomość w jednej z piwnic Quartier Latin, zadano mi najpierw pytanie: „Etes-vous artiste ou étudiant?” (Dopiero drugie pytanie miało na celu określenie mojej narodowości...).

STUDIA

Oprócz Uniwersytetu Paryskiego (Sorbonny), znajduje się tu cała masa innych uczelni. A więc elitarna Ecole Normale, Ecole des Mines, Ecole Polytechnique i niemal autonomiczny wydział Sorbonny — Faculté de Médecine. No, i oczywiście, Ecole des Beaux Arts.

Studia w zasadzie są bezpłatne; owo „w zasadzie” waha się od 50 do 600 NF rocznie. Na Sorbonnie obowiązuje minimum. Ecole Normale jest bezpłatna, a nawet gwarantuje studentom wysokie stypendia.

Największą uczelnią jest oczywiście Sorbona. Jej studentem może być każdy śmiertelnik posiadający „bac” (baccalauréat — odpowiednik naszej matury) lub jego ekwiwalent, tudzież 50 NF (suma raczej niewielka) na „opłacenie prawa wpisu. Przy tym, rzecząc ciekawo; można sobie załatwić immatrykulację na tej uczelni nie umiając ani słowa po francusku (z doświadczeń własnych autora). Regulamin studiów respektuje wszystkie zasady francuskiej wolności; na większości wydziałów żadne zajęcia nie są obowiązkowe. Jednakże mimo tej liberalności sale wykładowe są zawsze przepełnione.

Skoro już mówimy o salach wykładowych Sorbonny: ich atmosfera jest niepowtarzalna. Mieszcza się w starych gmachach, są ogromne; ławki wznoszą się amfiteatralnie w ogromnym półkolu... Do ich wielkich po-

dwoi prowadzą długie korytarze. Okna wychodzą na kamienne dziedzińce. Stara Sorbona jest domeną kamienia.

STUDENCI

Scharakteryzować to środowisko w kilku zdaniach wydaje się niemożliwym, chociażby ze względu na jego szalone zróżnicowanie. Nie zapominajmy bowiem, że we Francji istnieje jeszcze pojęcie klasy społecznej i że pieniądź odgrywa tu potężną rolę. Na potwierdzenie mych słów jeden tylko przykład i to bez komentarzy: młodzież ze wsi stanowi 5% ogółu studentów.

A więc pierwsza grupa — to studenci bez istotnych problemów finansowych (często nazywani tutaj „fils à papa”). Grupa ta jest najliczniejsza. Druga grupa to ci z problemami. Dla nich są przewidziane liczne stypendia, domy akademickie, restauracje studenckie. A propos restauracji: ze względu na wygodę i niskie ceny posiłków korzystają z nich niemal wszyscy studenci — są one naprawdę doskonałe. Dochodzi do tego, iż student dostając na obiad kurczaka oburza się: „Merde, encore aujourd'hui ce poulet!” (autentyczne). Z domami akademickimi jest gorzej. Wciąż za mało. Możliwe, że Francuzi, przyzwyczajeni do wygody, nie wyobrażają sobie, iż można mieszkać w czterech w jednym pokoju: pokoje są jednoosobowe, małżeńskie mają dwa pokoje. No, ale z drugiej strony płaci się o wiele więcej niż u nas.

Porzucmy na razie kwestie bytu doczesnego, zajmijmy się sprawami ducha. Oczywiście, pierwsze pytanie — co czytają? Ano, zalety. Zależy od tego czym jeżdżą. Ci, co jeżdżą na zajęciach samochodem czytają „Figaro”; ci co korzystają z métro — „L'Humanité”. Przeważająca większość jednak czyta Sartre'a (panowie) lub Simone de Beauvoir (panie). Jest stąd bardzo dużo intelektualistów. Bardzo dużo. Jeszcze więcej niż u nas...

Na terenie Wydziału Nauk Ścisłych Sorbonny działają dwie organizacje: CORPO i UNEF. Oczywiście, są to organizacje konkurencyjne. I „apolityczne” — CORPO jest apolityczne na prawo, UNEF jest apolityczny na lewo. Dlaczego jednak apolityczne? No, bo „zadaniem studenta jest uczyć się, a nie „faire de la politique”. Tyle, że jak tu nie „robić polityki” jeśli jest Algieria i jeśli ceny w restauracjach studenckich i domach akademickich ciągle rosną?

Grupę zupełnie odrębną

stanowią studenci — cudzoziemcy. Tu należałoby wyróżnić dwie podgrupy: primo — studenci z krajów, które zawarły z Francją umowę o wolnej wymianie studentów, co w praktyce oznacza, iż student takiego kraju posiada we Francji wszystkie prawa, które mają Francuzi, a więc prawo do pracy, do Securit  Social, do domów akademickich etc...

Secundo: studenci innych krajów, którzy tych praw nie posiadają. (Niemniej jednak wszyscy korzystają z restauracji studenckich i wszelkich innych zniżek związanych z posiadaniem legitymacji studenckiej.) Oczywiście, w ramach tak jednej jak i drugiej grupy znajdują się stypendyści rządowi: ci biedni nie są znani. Trochę inaczej wygląda sytuacja studentów należących do drugiej grupy. Jest ona raczej trudna. Nie mają prawa do pracy. Należą do „uchodźców politycznych” — ci mają te same prawa co Francuzi, nie stypendyści — a jest ich masa — znajdują się właśnie w takiej sytuacji.

Jak się zarabia? Jeśli się jest cudzoziemcem i nie zna się jeszcze języka — sprząta się, zmywa talerze, itp. itp... W przeciwnym wypadku — można dawać korepetycje, pilnować dzieci (w zasadzie zarezerwowane wyłącznie dla studentów medycyny), pomagać przy przeprowadzkach... Wszyscy turyści, którzy zawadzili o Paryż, pamiętają doskonale malowidła na chodnikach Wielkich Bulwarów. Kopie Van Gogha, Toulouse-Lautrec'a... To studenci Akademii Sztuk Pięknych.

Można też pracować na serio — zawodowo, ale wtedy stypendium (jeśli się je ma) odpada.

ARTYŚCI

Edith Piaf?.. Mouloudji?.. Znać. Nie o nich chcę pisać. Zresztą może i o nich, lecz o nich przed sławą, przed Wielką Sceną.

Odnajdziemy ich na Montmartre, w Dzielnicy — na Montparnasse — śpiewających piosenki w małych kabaretach, przy pianinie, schylnych nad paletą na nadbrzeżu Sekwany.

Pewnego wieczoru, w małej kawiarence w Dzielnicy Łacińskiej zawarłem znajomość z Luc'em Romannem. Rozmawialiśmy o Polsce, o Polakach. O Paryżu. Potem rozmowa zesłała na tematy bardziej osobiste. Luc opowiadał mi o sobie. Wyjaśił szkielet i pokazał kilka rysunków. Czarna-białe kompozycje a la Chagall, pełne poezji, wykonane z dużym artystycznym. Następnego wieczoru poszedłem do kabaretu, gdzie śpiewał Luc. Długa sala, wzdłuż ścian ustawione stoliki, migotliwe światło świec... Pianista brzdąka jakąś melodię, nieelocni goście popijają wino (przy stolikach są za-instalowane kurki — wystarczy odkręcić i szklanka jest znów pełna...). Rozpoczęła się program: chuda dziewczyna o smagłej cerze śpiewa o Hiszpanii, potem magik w ciemnych okularach robi cuda i wreszcie — Luc. Poprzedniego dnia czytałem jego wiersze — ze zdziwieniem je rozpoznałem w piosenkach Luc'a. Śpiewa przy akompaniamencie

gitary. Nie ma „wielkiego głosu” lecz bez trudu opanowuje widowie.

Potem wychodzimy razem. Rozmawiamy o artystach: o tych z Quartier Latin i o tych przez wielkie A. Między jednym a drugim jest przestrzeń, którą przekraczają tylko nieliczni (ale nie zawsze najlepsi!). Za jeden wieczór piosenkarz w kabarecie na Lewym Brzegu dostaje 20—30 NF — piosenkarz klasy Mouloudji dostaje około 600 NF. Na Place du Tertre można kupić obrazy namalowane nie-raz z wielkim artystycznym za 50—100 NF.

Klan Wielkich doskonale broni swych interesów; jest praktycznie niemożliwym wypłynąć na szerokie wody bez poparcia któregoś z Wielkich. A przede wszystkim „il faut savoir faire du commerce” — mówi Luc. Żeby uzyskać engagement w małym kabarecie trzeba dysponować repertuarem „pod publiczność”, toteż od czasu do czasu Luc popełnia „piosenkę na handel”. Bo przecież z czegoś trzeba żyć. (Jeszcze kilka miesięcy temu nie chciał tworzyć na zamówienie. Wynik: zarabiał z trudem na utrzymanie, pracując jako fotograf uliczny). I pianiste też trzeba opłacać. Mówię: „U nas w Polsce miałbyś pianistę za darmo i jeszcze stypendium byś dostawał”. Luc uśmiecha się: „Wiesz, że mnie to już nie musiisz robić propagandy”. Mówię mu o możliwościach studentów, o ułatwieniach dla artystów. Nie wierzy.

Widziałem znów Luc'a kilka dni temu. Ma teraz swojego impresario. Mówi: „On ma dużo znajomości. Ma mnie przedstawił Edith Piaf, Zalatwia teraz nagranie płyty u Philipsa”. Luc wrócił właśnie z Amsterdamu, gdzie występował w telewizji. Odnosi sukces. „Żeby tylko tak w Paryżu

poszło” — wzdycha. No cóż, może pójdzie? Będzie to oznaczało, iż oprócz talentu artysty ma też smykałkę do handlu.

RODACY

Na bulwarze St. Germain, tuż za Odeonem znajduje się Księgarnia Polska. O jej polskości świadczy szyl w naszym ojczystym języku, zaprzeczając jej natomiast asortyment książek na wystawie: są to przeważnie wydawnictwa francuskie, angielskie i... niekiedy polskie. Wnętrze księgarni jest ciemne i ponure, za to na półkach można znaleźć więcej voluminów w języku polskim. Główne wydania emigracyjne. Są i czasopisma — też emigracyjne.

Druga wyspa archipelagu polskości znajduje się w pobliżu, po drugiej stronie bulwaru, kawiarnia „Old Navy”. Mimo — jak można by sądzić po nazwie — angielskich sympatii tego zakładu, słyszy się tu przede wszystkim język Polan; jest to ulubiona kafejka polskich studentów.

Rozmawia się tu o wydarzeniach na wydziale, komentuje nowiny z ojczyzny, ot, gada się. Czasami można spotkać panów w solidnych jesionkach mimo marcowego słońca — to panowie „na delegacji”: wczoraj przyjechali, jutro odjeżdżają. Objeździ Paryż, komentują teraz sposób funkcjonowania automatycznych drzwi w métro lub dyskutują nad cenami damskich kompletów.

Archipelag składa się jeszcze z kilku klubów studentek; panuje tam bardzo miła atmosfera. Można porozmawiać, wypić kawę, można też czasami znaleźć pracę.

Abstrahując od środowiska studenckiego: Paryż był i jest siedliskiem emigracji polskiej, ludzi, których różne drogi zawiadły na ob-

czyźnie. Pozostaje tu grupa „starej emigracji” — Polacy, którzy przyjechali do Francji przed wojną. Ich stosunek do Polski jest pełen ciepła; jeśli nawet mają „stamtąd” złe wspomnienia — zawsze to ojczyzna. A zapytani o narodowość najpierw odpowiadają „Polak” — potem szybko poprawiają: „Je suis Français”. Utrzymują kontakty z Krajem, znają jego problemy i bolączki — krytykują często, ale bez wrogości. Inaczej trochę mówią o Polsce „nowi emigranci”. Bardzo pociągają. Jeśli tamci już zasympilowali się w społeczności francuskiej, ci tworzą odrębną grupę narodowościową; mówią jeszcze łamaną francuszczyzną, kupują w „polskich” sklepach, spotykają się w rozmaitych klubach kombatantów itp. Tak „stara” jak i „nowa” emigracja to środowisko niezwykle interesujące, godne osobnego studium.

Dla przeciętnego Francuza pierwszym skojarzeniem z „Pologne” jest „Wajda”. Nie od razu zrozumiałem o co, a właściwie — jak się potem okazało — o kogo chodzi. Dopiero potem, gdy mój rozmówca dodał: „No, ta scena z Chrystusem była doskonała”, zrozumiałem — Wajda! Filmy polskie cieszą się tu dużą popularnością: „Kanał”, i „Popiół i Diament” prawie wszyscy widzieli.

Bardziej oświeceni wiedzą jeszcze, że istnieje Warszawa, pytają jak wymawiać „Szczecin” (tutdzież informują się czy na pewno należy do Polski) i czasami dają się przekonać, że Szopen był Polakiem.

Ci, co byli w nadwiślańskim kraju, wychwalają naszą gościnność, są zaskoczeni, że tak mało u nas samochodów i podziwiają tempo odbudowy Warszawy.

(Dalszy ciąg ze str. 7)

mała także tradycja Michalikowej satyry i nikt jakoś nie chciał jej budzić. Zawsze to ma większą wartość jako zabitek — powiadają w Krakowie.

Bo też kabaretu nikomu nie udało się zrobić pod Wawelem. Padł Teatr Satyryków na Grzegórkach, dokąd został eksmitowany po zamknięciu małej sali w Starym Teatrze, padł nawet Smok — z przejedzenia (u widzów), „Centuś” to pada, to się podnosi, z przyczyn, które autorzy zawarli proroctwo w nazwie. Czyli finansowych. Toteż nikomu nie chciało się uruchamiać od pół wieku nieczynnej scenki w Jamie. Zwłaszcza, że tradycja ze wszech miar zobowiązywała do wielkich czynów.

Ale wracajmy do autorów szopki w osobach Kwiatkowskiego, Miećgowa, i Stwory, którzy usłyszeli swoją szopkę na antenie, tudzież życzliwe głosy: warto to gdzieś zainscenizować. Proponowali i tam aż wreszcie zgłosili się do dyrektora Lipskiego. W KZG „Kawiarne”. Wówczas to dyrektor zaproponował: „Bierzcie Jamę”.

Mój Boże, kół by śmiać nie doceniać całej okazałości tego wnętrza, razem z jego legendą i secesją! A secesja tu wspaniała — palce liża! Nie ma chyba w Krakowie bardziej secesyjnego wnętrza, niż Jama. Minęło ledwie pół wieku, a już secesja — napuszczona i ubrana w piórka, zapożyczona od innych epok — stała się zabytkiem. Sam projektant wnętrza — Karol Frycz musi się srodze śmiać, że docze-

Michalik

kał tego. Chwała mu, on to przecież razem z Trzcińskim, Boyem, Sierosławskim organizował „Zielony Balonik”. On projektował pono meble.

A więc pierwszy program, zatytułowany „A to ci szopa” wkroczył do kawiarni pana Michalika. Rozległ się znowu stary sygnał „Oj Mi, Oj Mi, Oj Michaliku!... Chociaż to bardzo niezastępowanie wyciąga się na sztandar tego poczytowego wasatego cukiernika, któremu ani się marzyło wejście do historii literatury, bo zbyt był zajęty robeniem pieniędzy. Ale wszedł do tradycji „Zielonego Balonika” razem ze wszystkimi — a może bardziej, niż jego faktyczni twórcy. Któż bowiem pamięta dziś Sierosławskiego czy Jarockiego? A o Michaliku wszyscy wiedzą.

Do zespołu, który robił szopkę w Radio, dookołowanego Kazimierza Witkiewicza — w „Baloniku” też był Witkiewicz, ten od zakopiańszczyzny — i impreza ruszyła. Bez dekoracji — w związku z dyskusją o scenografii. Kostiumów jednak nie udało się uniknąć — i zaprojektowała je Lidia Skarżyńska. Reżyseria wspólna, nie parta żadną rutyną. Garderoba w piwnicy, z lodówką i butelkami mleka, bo nie ma miejsca gdzie indziej.

Machina kabaretowa ruszyła bez najmniejszych zgrzytów, kilka osób, które pokazano w szopce skrzywiło się, ale przeknęło pigułkę satyry — zwłaszcza, że dano im do popicia dobrą kawę. Ponieważ spodobało się to wszystkim: program — widzom, „Jama” — autorom i aktorom, więc zawarli ze sobą święte przymierze. Tylko kociaki się

wyniosły, bo te stworzenia wiedną w intelektualnej atmosferze. Nie pozostało po nich ani śladu. Zmieniła się w Jamie publiczność, przychodzą młodzi z ASP, przychodzą nawet profesorowie.

Kociaki wywędrowały gdzieś indziej szukać prawdziwego „absolutu” i „nagłej duszy”, o których to pojęciach nie mają dobrze wyrobionego zdania. Słyszały, że naga dusza była kiedyś, za Przyszłościńskiego, zawsze umoczona w alkoholu. A alkohol w „Jamie” nie ma. Wierzywały z Jamą już obopólnemu zadowoleniu. Kabaret jest już zadowolony w „Jamie” na dobre, zżył się nawet z lodówką w garderobie, (gdzie pono przechowuje się teksty, aby utrzymać wieczną świeżość), zżył się z publicznością. Najlepiej dowód, że lekko przeskokczył 100 przedstawię — w doskonałej formie i myśli chyba o następnych dwustu.

Po szopce przyszedł szybko „Szlagierowy program”, w którym Sadecki wspaniale „robił” piosenkę „Pamiętam Twój oczy dzikie, z rozkoszy nieprzytomne”, dodając wdziku parodię świetnej gestykulacji — a o ile tak można nazwać coś w rodzaju tańca brzucha, skrzyżowanego z gimnastyką szermierczą. Marta Stebnicka zaprezentowała „Gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj”.

Wreszcie przyszła historia Tysiąclecia i szarganie świętości. Tutaj już byli z zielono-balonikową tradycją za pan brat. Zaczęli nam od-



Kawiarnia „Old Navy”

TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI bal maturalny

Już drugi dzień siedzimy w lasach pod Kądziałą. Wymaszerowaliśmy z miasta prawie jawnie, a nawet wysłuchaliśmy prymarii. Niemcy przypominają obecnie zagonione konie z kapkami na oczach. Uwaga ich zwrócona jest wyłącznie na zaginający się pas szosy w kierunku Warszawy. Tego, co się dzieje na prawo i na lewo od znaków drogowych, nie są już w stanie widzieć.

Rozlokowaliśmy się na szerokiej polanie wokół zaimprovizowanego okopu, pokrytego gałęziami ściętej choiny. Nazywamy go z typową dla naszej organizacji wojskowej przesadą „bunkrem”. Łada chwila — jak się tego wszyscy spodziewamy — ma nadejść rozkaz, który wprowadzi nas na triumfalną kartę historii drugiej wojny światowej.

Leżąc tak, szcękając od niechęci zamkami naszych visów i innej nowomodnej broni, opalając się, grając w brydża i opowiadając, czego się jeszcze nie zdążyło opowiedzieć w ciągu pięciu lat — przypominamy trochę zbójców Schillera, trochę przedwojenny obóz harcerski.

Czesiek, Mietek i pozostali „generałowie” naszej kompanii — a z nimi Hala i Danka, które bardzo ładnie prezentują się w obcisłych zielonych spodniach i z opaskami czerwonego krzyża na rękach — rozsiadli się na garbie „bunkra”, o czymś tam rozprawiając i zabawiając się dmuchaniem sobie w oczy baloników mleczu. Jestem tu czynnikiem pośrednim między oficerem politycznym bez obowiązków, korespondentem wojennym bez pisma, a pospolitą ofermą pułkową. Z tego powodu czuję się w ich towarzystwie nieszczęśliwie. Zabraли mnie w ostatniej chwili na moje usilne prośby — zdecydowało o tym moje dość wysokie stanowisko w cywilu — choć nie wiem, czy postąpił roztropnie i w zgodzie z regulaminem. Łada chwila wyruszymy na prawdziwy, acz bliżej nieokreślony bój, a ja jestem zwykłą ofermą bez przeszkolenia.

Ostatnio już nie tylko Danka, ale i Hala, na którą przeniosłem prawie zupełnie swe uczucia, zaczęły fraktować mnie z ową rozrąbaną wyższością, z jaką frontowicze traktuje piecucha-asekuranta. To zdecydowało. Po wieloletnich wahaniach poszedłem wreszcie za głosem Marsa i Bellony.

Leżałem przez jakiś czas przy „szfable”, ale kiedy nieprzyjemne poczucie własnej bezwartościowości osiągnęło swoje apogeum, wzięłem koc i przeniosłem się w pobliże brygady kucharskiej, krzątającej się wokół ogniska, zwanego „kuchnią polową”.

Zaden z tych kilkudziesięciu chłopców, co dziwniejsze, nawet i ja — nowicjusz — nie odczuwamy, jak się zdaje, owego tak dobrze znanego z literatury i z opowiadań wujków, co przeszli przez pierwszą wojnę światową — lęku przed Straszną Niewiadomą. Czy to jakieś ogólne zahamowanie wyobraźni, czy skutek tych pięciu dziwacznych i okropnych lat, kiedy to o ową Straszłą Niewiadomą ocieraliśmy się w każdym razie dość często? A może jest i inna przyczyna? Może tak, prawdę powiedziawszy, nie bardzo wierzymy w nadejście rozkazu, który ma nas wprowadzić na heroiczne karty drugiej wojny światowej? Trudno tego w tej chwili dociec. Jestem dziś, jak mówi stary szwajcar z fabryki, Baluk, jakiś „nie pozbierany”. Po niebie od strony Postolowówki maszeruje ku nam oblok. Ale w pół drogi zatrzymał się na baczność i nie zmienia rysunku. Odległy szum przełajających się szosą warszawską czołgów i pojazdów — przypomina jakby wzburzone brzęczenie roju — zdaje się trochę przyćmiewać. Stefek przestaje wygrywać na skrzypcach swoje „Wróc do Sorento”. Dobiegają mnie teraz strzępy rozmów z różnych stron polany. Nie są bardzo bojowe. Ot, takie:

— Patrz — a tu matula cała zielona. Usta otwiera jak szczupak, lyka powietrze... A potem: „Skąd ty syneczku masz taką fajną piolunóweczkę?”

— On: „Kontra!” A ja: „Rekontra!” A on, brachu, za frak... „Z takim śmionkami — powiada — nie gram!”

— Soltysiak mi mówił — klaruję. — Starczy ci? Stara cwaniera! Myśli, że jak balona z ciebie zrobi, to ty w trymiga do ślubu! A my tej kurwie pokażemy, co to z dobrego chłopaka balona zrobić! A on beczy i beczy — jak to człowiek... Więc odstawiamy go spać. A potem w radę. Wiedziałem, że u Geografki jak raz oblewantus ma być matyry tej jego Ewy...

W chwili gdy zacząłem się tej rozwlekłej narracji pilnie przysłuchiwać, rozległa się tuż za moimi plecami — to co to zdaje się teraz nazywa — „pobudka”:

— Panowie! Prosimy grzecznie na kawę! Wszyscy biegną, tupią... Ja natomiast nie ruszam się z koca.

— Oblewantus matyry... Ewa... Skąd ja znam ten zardzewiały głos? Pośród wszystkich głosów drewnianych, metalicznych i zardzewiałych te ostatnie najłatwiej zapamiętać. Tak to prawda. Przymknąwszy oczy staram się przypomnieć sobie wszystko dokładnie, możliwie najdokładniej. Dopomaga mi w tym niewątpliwie wrodzona pamięć szczegółów i dar zapamiętywania dialogów. Muszę to potem przemysleć. Może dojdę do źródła dziwnego uczucia, jakie mna w tej chwili owładnęło — zamiast lęku przed Straszłą Niewiadomą, o którym tak zawsze sugestywnie opowiadał wujek.

Od początku nie miałem ochoty tam iść. Nie uczylem tego kompletu i nie byłem jako początkujący nauczyciel łaciny członkiem komisji maturalnej. Zaproszono mnie tylko z kurtuazji, a może i przez wzgląd na Dankę, która była z tymi pannicami — komplet był wybitnie babski — w przyjaźni. Nie lubię uczestniczyć w takich towarzyskich spotkaniach obu tych światów, do których jednocześnie — tu z urzędu, tam z wieku i z powodu Danki — należałem. Nielatwo tak się zachować, żeby jedni nie uważali, iż się wygłupiam, a drudzy, że „zapomniał wól”.

Mówilem Dancę: — Nie chodźmy. Udało mi się pożyczyc na bardzo krótko tę nieocenioną monografię Dybowski i Szekspira. Poczytamy razem, co? Doskonale interpretuje Hamleta.

— Sam jesteś Hamlet. Tylko byś mnie w klasztorze trzymał. Bzika przy tobie dostanę jak Ofelia. W takim razie sama idę!

I kopnęła taboret, na którym leżały moje, jeszcze nie pokazane gryzmoły.

A tak jeszcze niedawno mówiłem jej sam: — Nie ulegaj mi tak we wszystkim, bo jeszcze stracisz własną osobowość. A Danka, zakutana w swój włóczkowy szal, z noskiem opartym o moje kolana: — Głuptas jesteś. Właśnie, że będę ulegała!

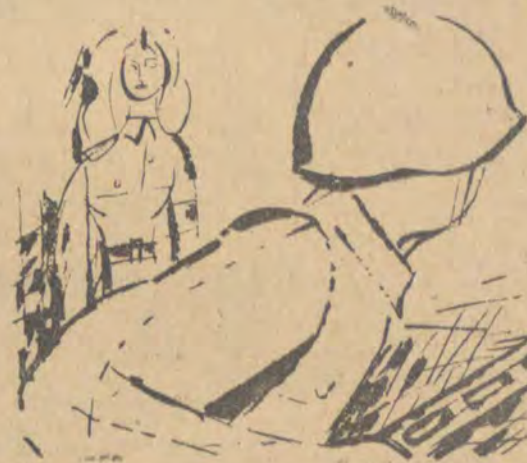
Była chyba godzina policyjna, kiedy znaleźliśmy się przed posesją Geografki — jak oni naszą panią Zofię nazywają. Mieszka prawie za miastem, więc jej dom świetnie nadaje się na takie cele. Była „wychowawczynią” tego kompletu i lubiła się bawić.

Dziwny był księżyc tego dnia. Zielonkawo-żółty czy też nawet jakby trochę pawi. Do tarczy jego przytyła wąska, stopniowo zężająca się chmurka. Pawie pióro — pomyślałem.

— Popatrz, jaki dziwny księżyc! — mówię jej, gdy szarpaliśmy w umówiony sposób za dzwonek u furtki.

Ale nie zadała sobie tego trudu.

DCN



na 102

JERZY WALEŃCZYK

Pięć debiutów

Wzawiać naszą historię, a gdy zdarli brzoza, okazało się, że historia ma łaskotki i sama się śmieje. Poszedł więc Fehot od Bramy Floriańskiej po Wawel, wszysej powtarzają sobie dowiecyp z Jamy, a wszystkich stołecznych i zagranicznych gości prowadzi nie wieczorem do Michałika. A nawet nie prowadzi, bo sami pędzą, jeśli cokolwiek o Jamie już słyszeli.

Był więc premier, był minister kultury, był wicemarszałek sejmu, kilku konsuli i ambasadorów, oraz redaktor naczelny „Szpilek”, który śmiał się tak, jak nie zdarzyło mu się nigdy przy lekcie własnego pisma. Zaś przewodniczący Rady Miejskiej kazał nawet ostatnio wyasfaltować ulicę Floriańską — żeby mu było wygodniej chodzić do „Jamy”. I żeby to swoim obywatelom ułatwić.

Program „A to ci historia” zrobił karierę. Wprawdzie tylko krakowską bo nie pokazywano go gdzie indziej, ale to kwestia możliwości.

W Michałiku grają naprawdę dobrzy aktorzy — więc prócz tego występują stale w teatrze i na dłuższych rejs do Warszawy czy Łodzi nie mogą sobie pozwolić. Ale pomimo wszystko — wbrew powiedzeniu, że aby stać się wielkim trzeba najpierw wyjechać do Warszawy — „Jama” zyskała uznanie, prasę, oklaski, komplety, gratulacje i fame, która poszła w Polskę. Bramie Floriańskiej znówu zakreśliło się w głowie i ledwie się trzyma na nogach, jak na zielonobaloni-

gach, jak na zielonobaloni-kowych rysunkach. Ze śmiechu. Bo jak tu się nie śmiać, kiedy myszy się schodzą na degustację Popiela, Wanda denastka zapowiada: „Zoną Niemca ja werde, ale tylko z NRD”. Ziemowit wrzeszczy do taty: „Pieścicie...”, a do księcia Józefa damy śpiewają „Papi-bon...”. Szwedzi natomiast pod Częstochową krzyczą „Lepiej chodźmy do Warszawy — zdobywać pałac kultury”.

Ale zespół z „Jamy” weale się nie kwapi do Pałacu. Po co im zresztą Warszawy? I tak zalatwiają ogólnopolską historię — na własną rękę, w Krakowie, Walewską, Hańską, pozytywistów, romantyków z Marylą Wereszczakówną, Ludwiką Śniadecką i Delfiną Potocką, prócz tego Marysieńkę Sobieską i księdza Kordeckiego.

Mamy więc nową, świetną placówkę kulturalną w Krakowie — jeśli tak można rzec, klasyfikując zjawisko w sposób urzędowy. A nawet nieurzędowy, bo to przecież święta prawda. Aha, przypomniało mi się, jak to Kadłubek tłumaczy się w Jamie ze swoich łgarstw: „Gdybym do waszych czasów dożył, Panie święty dopiero bym prawdę pisał jak najęty”. I ja też napisałem prawdę. Jak najęty. Przez Kwiatkowski, Miecugowa i Stwore.

JANUSZ ROSZKO

Otrzymałmśmy książkę na którą składa się debiut pięciu młodych autorów: Stanisława Cieślaka, Włodzimierza Krysińskiego, Marka Wawrzkiwicz, Józefa Wiśniewskiego i Eugeniusza Zarzyckiego. Każdy z nich jest inny i nie mamy najmniejszych podstaw aby ich podciągać pod wspólny mianownik i glajchszaltować. Pieciu poetów to pięć różnych profili, pięć stylów, pięć różnych rysunków, w jakie ubrojeni młodzi poeci ruszyli na podbój czytelnika. Każdy z nich zabiega o tego czytelnika innym systemem środków i jest to zjawisko pocieszające, uwzględniające pochodzenia autorów z jednego łódzkiego środowiska. Każdy ma kilkanaście wierszy i tu tkwi szkoda, ponieważ debiut taki nie wydaje się być debiutem pełnym. Taki debiut robi wrażenie niejako zdeklarowanego. Sąsiedztwo zaś skłania do zabiegów komparatystycznych mimo braku pokrewieństwa.

Świat zainteresowań poetycznych Stanisława Cieślaka to prowincja, jej aura i uroki oglądane naturalistycznie bez cechownicowskiego fantazjotwórstwa. Tutaj gliniane świątki są glinianymi świątkami, słoma jest słomą, krowa krową, obaranki obarankami. Wiersze Cieślaka to jeszcze prymitywne konstrukcje, naiwne i czasem infantylne. Infantylizm dodaje im niekiedy uroku. Dobrze jest, że poeta trzyma się realiów prowincji, żyje jej dniem i akcesoriami. Cieślak nie wychodzi prawie z tej orbity zainteresowań. Minimalista i sensualista rysuje żywo swoje obrazy.

Postawa Włodzimierza Krysińskiego, to zaprzeczenie Cieślaka. Młody poeta jest maksymalistą w sensie artystycznym. Lubi bogatą scenery i ornamentykę, ma zadatki na retorycznego ironistę. Jest retorykiem, poetą trudnym, epickim, ekstrawaganckim. Krysiński to intelektualista niosący bodaj, że największy ładunek intelektualizmu spośród swoich współczesnych. Nie obca mu szminka poetyczna i barok. Krysiński jest tradycjonalistą w dobrym sensie. Nie boi się powtórzenia układów, które w klasycznej poezji mają swoje utarte miejsce. Nie jest wolny wprawdzie od dziwactw metaforyzowania, ale przyjmujemy to za rezultat poszukiwań własnego wyrazu. Krysiński lubi sztyf poetyczny, kostiumy, w które chętnie się przebiera. Będzie to na przykład dopótychczas kostium romantyczny Słowackiego i symboliczny Baudelaire'a.

W wierszach tych dwiędziesięciu Apollinaire'a, Eliota, Audena, Roberta Warena.

Gdyby miał wskazywać na to, co mi się nie podoba, wskazałbym na pewną katorżniczość i oschłość. Natomiast nie jestem przeciwnikiem, jak inni recenzenci, nieco bombastycznej strofy:

„Na Balearach czeka
mnie słońce
Zenit osłupienia i
przetargu bólów
Tam ład baudelairowski
grzeszny i pachnący
Ociera poty szczęścia
ręcznikiem lazurów,

Wiersze Krysińskiego są wyrównane, jest to poezja mieszczańska, kulturalna, posługująca się wyszukanyimi rekwizytami i precyzyjnymi rymami.

O ile Krysiński jest nieco oschły i kostyczny to Marek Wawrzkiwicz jest miękki, subtelny, i feerycznym liryskiem. Chętnie klasykuje i posługuje się formacją, którą Stanisław Czernik w przedmowie tomiku nazwał neostaffizmem. Wawrzkiwicz dysponuje bodaj że najwięszym ładunkiem liryzmu spośród współczesnych. To, co Czernik nazywa neostaffizmem, wydaje się być pogłosem młodzieńczych lektur. W ogóle Wawrzkiwicz w tych wierszach jest bardzo młodzienny, a to może ze względu na księżyc, który jest błąd jak cukierek, a chmury są rozklebionym smutkiem i tym podobne sformułowania. O ile się orientuję Wawrzkiwicz oddala się od neostaffizmu. Formacja ta będąca wyrazem młodzieńczych upodobań posiada wszelkie cechy „etapu” którego młody autor nie kontynuuje.

Wawrzkiwicz wiele zapowiada. Dlatego chciałbym szczególnie podkreślić, że nie pozbył się jeszcze liczmanów poetycznych. Cierpi czasem na wielosłowie i brak skrótu. Na przykład „Czarownicę” charakteryzują rozlane frazy, w których poeta czuje się wprawdzie swobodnie, pełniej i oryginalnie może siebie wyrazić, ale zagraża mu „wszystkoizm”, zbytlna nerwowość refleksyjna, chęć wyrażania wszystkiego co czuje, jakiś swoisty panteizm liryczny.

Józef Wiśniewski to skret, awangarda. Na przykład: „Wróble mi wywierkały ranek”. Typowa konstrukcja awangardowa. Najsilniej spośród współdebiutantów odczuwa niepokój minionej lecz ciągle zagrażającej wojny.

Skutecznie odrywa się od Różewicza. Można mu wprawdzie zarzucić nie zawsze dość spójne konstrukcje czy łatwinny (groteska infantyna) czy czasem nadużycie zdania oznaczającego, ale niepodobna odmówić interesującego talentu i wrażliwości jaką zaprezentował w wierszu „Kolysanka”. Silnie odczuwany katastrofizm jest w idealnej zgodzie z środkami formalnymi. Podobnie „Emigrant” niesie ze sobą przypominanie zagłady.

„a wiosna
— kiedy róża wiatrów
zakwita
kielkują młode kości”

Poezja Wiśniewskiego jest cenna jeszcze przez to, że postawawgardowy rysunek jest wzbogacony o nadrealistyczną groteskę.



Podobnie w Eugeniuszu Zarzyckim pulsuje niepokój rozkwitłej cywilizacji, niepokój o własny dom, o miejsce na ziemi. Zarzycki ucieka w prymitywizm po rozczarowaniach religijnych, po przykładaniu ucha do ziemi, ażeby usłyszeć szepot rozstrzelanych.

Zarzycki jest zaangażowany, bywa moralistą. Jednak spośród pięciu autorów najtrudniej będzie mu się wybronić z zarzutu wtórności.

odpłosu str.
9

Dwa razy



Ciekawa rzecz — ANTONI BOHDZIEWICZ już drugi raz przenosi „Rzeczywistość” Putramenta w świat obrazów — po widoku telewizyjnym, o którym swego czasu pisaliśmy, wszedł na ekrany film pod tym samym tytułem. Obsada nie jest wprawdzie identyczna, jako że w wersji filmowej widzimy młodą łódzką gwiazdkę POŁĘ RAKSĘ, natomiast główną rolę męską tu i tu grał HENRYK BOUKOŁOWSKI. (na zdjęciu w wersji filmowej).

PROGRAM na najbliższe dni

- CZWARTEK — 18. V.**
- 11.00 Program dla szkół JEZYK POLSKI, „Socjalistyczna ojczyzna” (dla kl. V i VI). Za lecenia również dla kl. VIII oraz dla kl. III zasada, szkół zawodów.
 - 11.30 Przerwa.
 - 17.55 Program dnia (W).
 - 18.00 Program dla dzieci: „Zrobimy to sami” (W).
 - 18.15 Młodzieżowy program publicystyczny pt. „Akcja nieprzeziębłego szlaku” (z ogólnopolski).
 - 19.00 Recital śpiewaczy Louise Parker — akompaniuje Jadwiga Szamotulska (W).
 - 19.30 Dziennik telewizyjny (W).
 - 19.55 „Nie tylko dla panów” — magazyn (W).
 - 20.25 Teatr KOBRA: „Madame Riche” (W).
 - 21.35 Polska Kronika Filmowa (W).
 - 21.45 „Do rodziców i wychowawców” (W).
 - 22.15 Ostatnie wiadomości (W).
- PIĄTEK — 19. V.**
- 17.55 Program dnia (L).
 - 18.00 Wszystkie Dni tygodnia (L).
 - 18.30 Program publicystyczny pt. „Kulisy wielkiej mody” (W).
 - 19.00 Dziennik Telewizyjny (W).
 - 19.25 Program publicystyczny (L).
 - 19.40 Program rozrywkowy (W).
 - 22.00 Ostatnie wiadomości (W).
- SOBOTA — 20. V.**
- 11.00 Program dla szkół „ZOOLOGIA” „Ryba czy ssak” (dla kl. VI).
 - 11.30 Przerwa.
 - 17.15 Program dnia (L).
 - 17.20 „Mój pierwszy lot” — telekonkurs dla młodzieży (W).
 - 18.50 Program tygodnia (W).
 - 19.05 Program tygodnia (L).
 - 19.15 Dziennik telewizyjny (W).
 - 19.45 „Wesołe z przegoni” — film fab. produkcji francuskiej (W) (czwartki).
 - 21.00 „Ostatnia droga” — film krótkom. prod. węgierskiej (W).
 - 21.20 „Praska Wiosna” — Koncert Symfoniczny z Pragi Czeskiej (K).
 - 22.15 PKF i ostatnie wiadomości (W).
 - 22.30 „Kabaret Starszych Panów” pt. „Zielony Karnawał” (W).
- NIEDZIELA — 21. V.**
- 10.45 „Amigo — Cocktail” — Koncert estradowy z Berlina p-Katowice.
 - 13.00 Przerwa.
 - 14.20 Program dla dzieci „Teatrzyk Violinek” (W).
 - 15.00 „Niedzielną Biesiadą” (W).
 - 16.00 Sceny dramatyczne „Zygmunt August” — Stanisława Wyspiańskiego (W).
 - 16.50 Łódzki Przegląd Sportowy (L).
 - 17.10 Film krótkometrażowy (L).
 - 17.25 Sprawozdanie sportowe z międzynarodowego meczu piłkarskiego Polska — ZSRB. Transmisja ze stadionu X-lecia w Warszawie.
 - 19.15 Polska Kronika Filmowa (W).
 - 19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
 - 20.15 „W cieniu urodzeni” — film fabularny produkcji NRF (W) (dozwolony od lat 16-tu).
 - 22.00 Wiadomości sportowe (W).

Padliśmy ofiarą nieporozumienia, czyli prosimy o stołek

Padliśmy, co tu dużo gadać, ofiarami nieporozumienia. I to nie towarzyskiego, a międzynarodowego. Zawierzyliśmy biedacy wypowiedziom kierowników naszej radiofonii i telewizji, że w tym roku nie będzie transmisji z helikoptera, bo nie zdaje ona tech-



nicznego egzaminu, że nie będzie transmisji z samochodu bo to nie ma większego sensu, jedynie radio za pomocą krótkofalówki w samochodzie i na pokładzie samolotu przekątnikowego będzie być może. Prowadziło transmisję na żywo z bieżą. I tak było. Oczywiście na polskich etapach. Kiedy bowiem kolarze wjechali na teren NRD, kiedy niemiecka służba radiowa przejęła organizację obsługi sprawozdawczej w telewizji okazało się nagle, że jest i sprawnie działający helikopter i jest „TELE-GAZ” czyli samochód mający zamontowaną z tyłu kamerę TV i pokazujący świetnie walkę w czołówce wyścigu, że można w chwilach przerwy popatrzyć na mapkę trasy, na której lampki wskazują gdzie aktualnie znajdują się kolarze, że można popatrzyć na zegar wskazujący jaki czas obowiązywać miał

kolarzy według programu, że można posłuchać nawet muzyki i zapowiedzi ładnych speakerów, bo buzie naszych sprawozdawców mogą się np. komuś nie podobać. Słowem telewizja NRD spisała się na złoty medal. Każda audycja zdumiewa tempem, pomysłowością, lekkością montażu i jego celowością. W tej mierze telewizja bije na głowę wszystkie dotąd znane sposoby i źródła informacji nawet wtedy kiedy Bohdan Tomaszewski apeluje do telewizyjów, by sami orientowali się kto pierwszy wpadł na stadion bo on nie widzi. Wierzę się orientujemy, panie Bohdanie, tylko na Boga niech pan poprosi jeszcze telewizję NRD o stołek. W Polsce to by pan nie dostał, ale tam na pewno panu przyniosą! Oni wiedzą jak się robi telewizyjne transmisje z Wyścigu Pokoju.

PS. Aha, jeszcze co do międzynarodowego nieporozumienia. Nasza telewizja powinna jednak wiedzieć co przygotowują sąsiedzi z NRD i nie ogłaszać o tym, że helikoptera nie będzie. Bo jest. I warczy. Wrrrrrr.

(x)

Nowa piękność na telewizyjnym niebie

W telewizji amerykańskiej występuje ostatnio nowa piękność murzyńska Della Rosse.



Krwawa zemsta rodowa

W ostatnim czasie poniechaliśmy pisanie o „Kobrze”, jako że człowiek swoje, a nasz brat i tak w czwartek otwiera telewizor, aby gapić się w nabożnym skupieniu, kto kogo zabił i czy aby dokładnie. Lokalne sentymenty i niezwykła barwność obyczajowa widowiska Kryptonim „Mściciel”, jakim uraczyła nas Łódź w ubiegłym tygodniu, nie pozwalają wszelako na kontynuowanie milczenia.

Rzecz ma się w następujący skomplikowany sposób. Stryj (Zbigniew Koczanowicz) ma żonę (Alicja Zomer), z którą flirtuje wspólnik stryja w różnych brudnych machlojkach (Leon Niemczyk). Ale i wspólnik stryja (Leon Niemczyk), ma żonę (Hanna Bedryńska), przeto aby zażywać szczęścia z żoną-stryja (tzn. Alicja Zomer), musiałby się pozbyć i swojej żony i rzeczonego stryja. Mówiąc po ludzku: Leon Niemczyk i Alicja Zomer muszą pozbyć się Zbigniewa Koczanowicza i Hanny Bedryńskiej. No dobrze.

Ale stryj ma bratanka (Michał Pawlicki), którego wspólnik stryja (czyli Leon Niemczyk) wsadził swego czasu niewinnie do więzienia. Namachlował jakieś tam rachunki i młody człowiek musiał odsiedzieć trzy lata.

Teraz wraca. Ma wprawdzie dziewczynę (Zofia Saretok), ale nie chce — jak powiada — korzystać z niczyjej łitości. On chce forsy od Niemczyka, za milczenie, i to pięćdziesiąt kawałków od jednego zamachu.

Radzi się przeto Niemczyk Koczanowicza: dać, czy też nie dać.

Mówi Koczanowicz: Dać, bo mały może narodzić się.

Niemczyk: Dasz szczeniakowi palec, zechce całej ręki.

Koczanowicz (z zimnym uśmiechem): To dasz rękę.

Tylko patrzeć, a już zaczyna się kolomyja. Całotowarzystwo — sześć osób — zbiera się w mieszkanku, popija to i owo, a zarazem szantażuje na potęgę.

Najsamprzód niewinnie posadzony Pawlicki wmawia Niemczykowi, że znalazł trzecią kopię rachunku, za który siedział i odda ją, ale za gotówkę. Towar przechodzi z rączki do rączki, ale o ile gotówka jest wcale niezła, to kwit ordynarnie sfałszowany.

— Ty taki owaki — mówi Niemczyk — oddaj mi 40 patyków, a z resztą wynos się i nie pokazuj mi nigdy na oczy. Bo widzisz, ja dla ciebie też przygotowałem mały pasztet.

Poczem opowiada dość niestworzoną historię, z której wynika, że gotów jest sfingować napad rabunkowy i coś tam jeszcze, a wszystkie poszlaki spadną na Pawlickiego.

— He, he — śmieje się Pawlicki — ja mam dla ciebie coś lepszego.

I opowiada kolejną niestworzoną historię, z której wynika, że on również przygotował fałszywe poszlaki przeciw niegodnemu wspólnikowi stryja.

Na to włącza się stryj i proponuje, aby wypić na zgodę. Chytry wspólnik wlewa swoją porcję kanarkowi do miseczki i rzeczywiście biedna płaszcyna ginie w boleściach. O, niedobrze! Robi się straszliwy rwetes, z którego koniec końców wynika, że ze wszystkich drani stryj jest draniem największym. To on posadził bratanka, to on chciał otruć wspólnika, ale jeżeli go sypną, potrafi ich także ulokować za kratkami. Inaczej mówiąc: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

— Myślisz, że nie wiedziałem o twoim romansie z moją żoną — wola stryj do Niemczyka. — Ze mną, bratku, tak łatwo ci nie pójdzie.

— To stryj mnie wsadził — zalamuje się bratanek i prast forsę o stół.

— A tak! Siedziałem nie-

winnie za twojego ojca, kiedy zaś umarł wyhodowałem cię na własnym łonie, aby zgniebić. Ha, zemsta jest rozkoszą przesusów spóldzieln!

Ostatnie zdanie wprawdzie nie pada, ale to głównie dlatego, że korzystając z ogólnego zamieszania Zofia Saretok dzwoni po milicję i teraz, ani chybi, wszyscy pójda za kratki. Nie zdążyli się umówić co i jak, nie zdążyli zniszczyć kompromitujących dokumentów.

Rzecz kończy przewijając się przez całe widowisko melodia „Gdy mi ciebie zabraknie”, co może mieć głębszy sens, bo wszyscy pójda do więzienia, choć może również odnosić się do inwencji autora, a ponieważ i reżysera. W takim wypadku byłoby to wyjątkowo piękny i subtelny przykład samokrytyki.

Widowisko więc, jak widowisko, ale reżyseria i scenografia bardzo staranne.

P.J.

P. S. Nawiasem mówiąc L.O.T. odczuwa dziwną, choć nieczym chyba nie uzasadnioną niechęć, do wprowadzania nowych nazwisk. Z całym szacunkiem dla niżej wspomnianych aktorów, ale jak przystojny brutal — to Leon Niemczyk, jak cyniczny i tajemniczy lis — to Zbigniew Koczanowicz. Również bez Marii Wachowiak trudno się jakoś realizatorom obyć — tym razem używała postaci „Ludmile Jakubczak” we wspomnianej piosence — przeboju „Gdy mi ciebie zabraknie”.

A przecież nieliczne wypadki, gdy sięgnęto po nowe twarze ze szkół aktorskich, zakończyły się chybłą sukcesem. Przypomnę tu Jolantę Szajnę w „Wiernym rzece” — peretka.

Zresztą i Zofia Saretok debiutująca bodaj na wizji była bardzo przyjemna, a przecież to również studentka PWSTiF.

Kryptonim „Mściciel” — widowisko w/g scenariusza Juliusza Janczura — reżyseria: Kazimierz Oracz.

Kwintusmu ODBIOR

„Zbrodnia” — doskonała

Poniedziałkowy spektakl teatru telewizji zatytułowany „Zbrodnia” Izaaka Babla, lub też jak to podały inne gazety, „Zbrodnia Izaaka Babla” co ma swoisty i inny od zamierzonego sens, przejdzie bez wątpienia do historii telewizji jako spektakl znakomity. Znakomity z wielu względów które postaramy się wymienić. Przede wszystkim teksty niezłego już dziś Izaaka Babla autora sztuk teatralnych i opowieści o odeskim Żydzie Beni Krzyku są ewenementem w literaturze światowej i mogą być cenione nawet wyżej od znanego już Izi naszym czytelnikom Lejzorka Rojtszwana. Te teksty pełne niebywałego dowcipu płynące z rzetelnie opisywanych zdarzeń, pełne folklorystycznego żydowskiego humoru w ustach Wojciecha Siemionna zyskują jeszcze na wyrazistości. Ale w końcu spektakl składał się nie tylko z tekstów żydowskich. W paśmie na długo utkwili Siemion mówiący świetny list komсомола do matki, opowiadający o walkach w Polsce, czy o stosunkach panu-

jących w połowym szpitalu na tyłach frontu.

Rzadko się zdarza by jeden aktor potrafił zafrapować, zafrapować widzów TV. Siemion to potrafi. Nie sam, oczywiście, nie sam. Pomógł mu w tym także reżyser audycji Jerzy Markuszewski i Marek Luszczyński który opracował stronę muzyczną, operatorzy świetnie prowadzący kamery i oświetlacze. Tym razem światło telewizji było bez zarzutu. A więc w końcu raz jeszcze potwierdza się teza, że gdzieś gdzieś ale w telewizji na równych prawach współdziałać muszą wszystkie elementy przedstawienia by wypadło ono tak znakomicie. Jesteśmy pewni, że „Zbrodnia” Izaaka Babla utrwalona została nie na marmle działających aparatów tele-recordingu, ale na zwykłej wypróbowanej taśmie filmowej. Taką audycję nie tylko warto, ale koniecznie trzeba zachować w archiwum pokazując ją dwa razy do roku telewizjom, by nie zapomnieli jak wyglądał dobry spektakl telewizyjny, a co dziennie zamiast śniadania realizatorom TV.

(m)



3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O PRZYGOTOWANIACH DO
EGZAMINÓW DOJRZAŁO-
ŚCI POWIEDZIELI NAM:

Pan Hieronim Królikow-
ski, wicedyrektor U Liceum
Ogólnokształcącego im. G. Naruto-
wicza.

Młodzież jest bardzo prze-
jęta — to przecież wielki
życiowy egzamin. My ze
swej strony też staramy się
im pomóc. Chociaż oficjal-
nie lekcje już się zakończyły,
profesorowie umawiają się

z uczniami na spotkania, na
których powtarza się ma-
teriał. Dotyczy to nie tylko
przedmiotów obowiązkowych
jak matematyka, ale i prze-
dmotów dowolnych jak bio-
logia czy geografia. Daje się
zaobserwować, że młodzież
wklada sporo pracy w przy-
gotowanie się do matur. Wy-
daje mi się, że wyniki nie
powinny być gorsze od u-
biegłorocznych.

Andrzej Nowicki — ma-
turzysta.

Mimo, że jestem przygo-
towany odczuwam dużą tre-
mę. Nigdy przecie nie nie
wiadomo. Wprawdzie kole-
dzy absolwenci pociesza-
li mnie, że nie taki diabeł
straszny jak go malują, ale

trudno uwierzyć półki nie
przekonam się samemu. O-
sobiscie chciałbym podzelo-
wać profesorom za to, że w
tym trudnym i denerwują-
cym dla nas okresie poma-
gają nam bardzo służąc ra-
dą i doświadczeniem.

Tadeusz Tworczak, repe-
tent.

Trochę mi wstyd się przy-
znać, ale w tym roku po-
kpiłem sprawę. Za mało
pracowałem i nie dopuszczo-
no mnie do matury. W przy-
szłym roku obiecuje sobie
solennie wziąć się mocno w
karby. Muszę się przecież
zrehabilitować w oczach na-
uczycieli i kolegów.

Rozmawiał LUW

informacje i zaczepki

Dział upowszechniania
Wiedzy LDK zorganizował
ostatnio przy współudziale
Katedry Języka Polskiego
UL — Poradnię Poprawnej

Polszczyzny — porad udzie-
lają wybitni fachowcy w tej
dziedzinie m. in. prof. prof.
Stefan Hrabec i Karol De-
jna. * W łódzkim koncercie ży-
cień istnieje pocieszny zwy-
czaj — otóż spikerzy z regu-
ły składają również sobie
życzenia „wszystkiego co się
szczęściem wie” — może to
i ładne, nas oświadczenie
niewiele śmieszy. * W ubiegłym
tygodniu gościł w Łodzi
znany zespół „Poznańskich
słowików”, który dochód z
niedzielnego koncertu prze-
znaczył na walkę z gruźlicą.
* „Nowa Kultura” drukując
kolumnę wierszy łódzkich
poetów wykreśliła z rejestru
Annę Pogonowską, publiku-
jąc wiersz znanej poetki pod
nazwiskiem Jerzego Felik-
siaka, nie przypuszczaliśmy
że w tym tygodniu chochlik
drukarski jest aż tak ak-
tywny. * Aktorzy zaczynają
imać się pióra — po Karolu
Obidniaku autorze „Pokoju
pełnego dymu” twórcą no-
wej komedii muzycznej jest
aktor Teatru Ziemi Łódz-
kiej p. Tadeusz Kozusznik
— podobno pisarze grożą, że
wkrótce opamięta deski sec-
niczne. * „Kozwój prakseolo-
gii” — taki tytuł nosił od-
czyt prof. dr Tadeusza Ko-
tarbińskiego, który w ubie-
głym tygodniu gościł w Ło-
dzi na zaproszenie Łódzkie-
go Towarzystwa Naukowe-
go. * Gorąco polecamy na-
szym czytelnikom rewela-
cyjną wystawę prac łódz-
kiego malarza Jerzego No-
wosielskiego eksponowaną w
lokalu CBWA przy ul. Pół-
trójskiej 102. * Aż trzy zes-
pły dramatyczne studen-
tów łódzkich brały i to z
powodzeniem udział w Fe-
stiwale Kultury. Studentów
w Gdańsku. * Tłumy łodź-
ian zwiedzały w Pałacu Sporto-
wym wystawione projekty
na pomnik Juliana Mar-
chlewskiego, który stanie
na Starym Rynku. * Około

tyśiąca prac nadesłało 120
plastyków amatorów na do-
roczny konkurs plastyczny
organizowany przez Wydział
Kultury wspólnie z Muzeum
Sztuki i redakcją „Dziennika
Łódzkiego”. * Przy ZPB
im. Marchlewskiego istnieje
Koło Pol. Czerw. Krzyża —

WIL.

BAgetelki

Liścik otwarty

w sprawie plastyków i plastyki

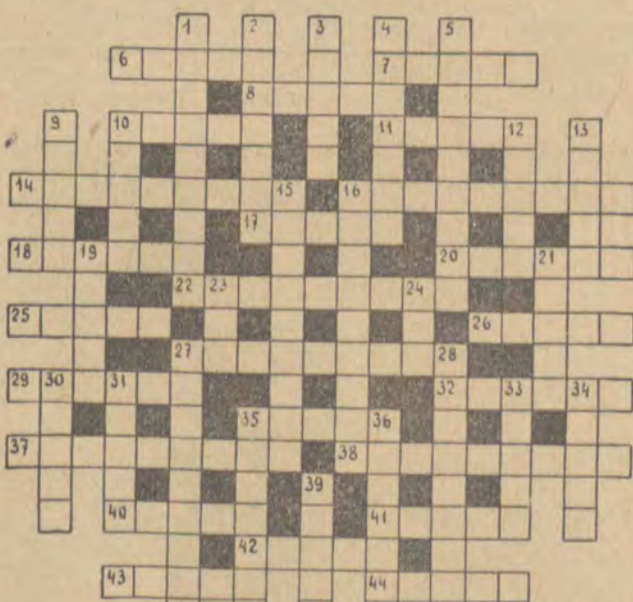
Panie Redaktorze! W za-
mieszaniu, trzasku i w ogó-
le w wielkim nieporządku
zapomniałem donieść o
pewnej, bardzo charaktery-
stycznej sprawie, którą za-
uważyłem w Gdańsku.
Zresztą zapomnienie to ma
swoją psychologiczną pod-
tekstikę, o czym się Pan
przekona przy końcu liścika.
Otóż jest w Gdańsku
ulica Długa. To właśnie ta,
na której stoi posąg słyn-
nego gdańskiego Neptuna.
Na tejże pięknej ulicy Dłu-
giej jest wiele sklepów —
najróżniejszych. W oknach
zaś wszystkich tych skle-
pów wiszą, obrazy mło-
dych gdańskich plastyków.
Po prostu galeria. Idzie
sobie człowiek ulicą i ogląda
obrazy. I to wcale nie naj-
bardziej „ugodowe”, trady-
cyjne. Nie bardzo znam się
na plastyce, ale powiedział-
bym, że jest to malarstwo
zdecydowanie nowoczesne.
Sądząc, Panie Redaktorze, że
pomysł jest imponujący,
choć reklamie może czasem
nie służyć. No, bo jeśli na
przykład na wystawie skle-
pu z meblami wisi obraz
kobiety ubranej w sukienkę
z gazety, to klient łatwo
może sobie pomyśleć, że
przedsiębiorstwo handlu
meblami chce go właśnie
dział przy zakupie za wyso-
kie ceny mebli na wysoki
połysk. Pomysłu jednak
milczeniem zbyć się nie da,
a plastykom trzeba jeszcze
raz przypomnieć, że mają spo-
ro pomysłowości.
Dowodem tego jest też

ten fakt już z naszego
łódzkiego podwórka. Oto
ogłoszono konkurs na obraz.
Konkurs był zamknięty, a
do jury nie pozwolono ani
jednego członka z zewnątrz.
Autorzy nadsyłali swoje
nazwiska w zalakowanych
kopertach, ale ponieważ
wszystko rozgrywało się w
swoim gronie i ponieważ
wiadomą rzeczą jest, że
każdy malarz pozna obraz
swojego kolegi, jury przy-
znało I nagrodę ni mniej
ni więcej tylko przesowi
Związku Plastyków. Tak
więc potwierdza się teza o
wielkiej pomysłowości tego
środowiska.

O obu pomysłach i o ich
wykonaniu donoszę z za-
chwytem i nie bez pewnego
wzruszenia.

MAW

NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:
Poniżej: 6) Rozmienie, pasy
lub sznury do wiązania rze-
czy 7) Tłuszcz, 8) Państwo
nad wschodnim wybrzeżem
Morza Śródziemnego, 10) Ko-
lej elektryczna pod jezdniami
miasta, 11) Mały koń, 14)
Miasto wojewódzkie, 16) Ry-
sunek wryty na drewnianej
deseczce i odbity drukiem,
17) Jeździec arabski, tytuł
utworu Adama Mickiewicza,
18) Odgłos łamania się, poka-
nia, 20) Znak, cecha, piętno,
22) Występuje w cyrku, 25)
Kamień szlachetny, 26) Ta-
niec, 27) Utwór wierszowany,
w którym początkowe litery
tworzą jakiś wyraz lub zda-
nie, 29) Papuga, 32) Postano-
wienie prawodawcze, 35) Część
kuferka, 37) Egzemplarz utwo-
ru muzycznego, z którego ko-
rzysta dyrygent, 38) Technika

graficzna polegająca na kilka-
krotnym trawieniu kwasem
azotowym rysunku, wykonan-
ego cienką igłą na pokrytej
werniksem płycie miedzianej,
40) Mineral pospolity; wys-
tępuje w piasku, 41) Imię że-
ńskie, 42) Roślina z rodziny
motylkowatych 43) Niezbędna
do wyrobu cegieł, 44) Baza.
Poniżej: 1) Pracuje w księ-
gowości 2) Myśliciel, uczony,
3) Gliść, 4) Współbieganie
się o pierwszeństwo w jakimś
zakresie, 5) Kolacja, 9) Umiar-
kowanie, 10) Zwierzę, 12)
Zwierzę domowe, 13) Dwu-
maszowe żaglowce rejoye,
15) Rozdźwięk nieprzyjemne
dla ucha połączenie dźwięków,
16) Dział pedagogiki zajmują-
cy się zagadnieniem celów,
metod i środków nauczania,
19) Kawałek czosnku, 21)
Nazwa kaszy 23) Kucharz



Rys. E. Mann

o TYM NIE WIECIE

Majątek pisarza

Sławny amerykański pocho-
dzenia, William Saroyan,
który żyje w Kalifornii, o-
głosił niedawno w pew-
nym dzienniku w San Fran-
cisco taki anons:
„Uważam za najważniejs-
sze dokładnie opisać mój
majątek, który chcę sprze-
dać. Ziemia jest sucha. Ga-
rażu nie ma. Jest tu tylko
jedna rozklekotana studnia.
Piec nie grzeje, a to dla
tej prostej przyczyny, że
trzeba je wszystkie zrepe-
rować. W ogrodzie rosną
drzewa oliwowe, ale nie
dają urodzaju. Jakże zresztą
mogłyby dawać, jeżeli nie
można ich podlewać? Te-

lefon jest. Ale gdy chcecie
telefonicznie porozmawiać z
przyjacielem, musicie łączyć
się przez jedenaście central
telefonicznych. Nawet szko-
ła tu jest, ale oddalona o-
śmiem kilometrami i tylko je-
dnoklasowa.

W całej okolicy nie ma
nawet najmniejszej nadziei
na to, że odkryją tu naftę,
uran albo coś innego. Nato-
miast można tu spotkać du-
żo wiewióreczek.

Za ten mój majątek żą-
dam 32.000 dolarów. Ewen-
tualnie kupiec niech jednak
najpierw poszuka lekarza i
niech sobie każe zbadać ner-
wy. Gdyby i po tym zdecy-
dował się majątek kupić,
niech telefonuje do mnie.
Mój numer telefonu: Fre-
sno: 2-85-72”.

W cztery godziny po o-
publikowaniu ogłoszenia —
majątek kupiono.

ZAGADKA TYGODNIA

Dzisiaj zagadka literacka.
Podobnie jednak jak po-
przednia będzie to zagadka
z liczbami. Otóż należy ze-
stawić nazwiska autorów z
książkami, których tytuły
zawierają jakąś liczbę. Tym
razem podamy owe liczby,
opuszczym natomiast dalszą
część tytułu. Owa brakują-
ca część tytułu należy także
uzupełnić.

- 1) Ilja Ilf i Eug. Pletrow
- 2) John Reed
- 3) Antoni Czechow
- 4) Ksawery Pruszyński
- 1) Dziesięć dni
- 2) Dwanaście
- 3) Trzy
- 4) Trzy

Rozwiązania wyłącznie na
kartkach pocztowych należy
nadsyłać w terminie tygod-
niowym. Wśród czytelników
którzy nadesła prawidłowe
rozwiązania rozlosowane bę-
dą nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE Z NR 16

1) Każda liczba podzielona
przez 1/5 tej samej liczby
daje 5.

2) 1+2+3+4+5+6+7+
(8×9) = 100.

Nie otrzymaliśmy praw-
idłowej odpowiedzi.

ROZWIĄZANIE Z NR 17

Pierre Boule — Most na
rzece Kwai; Michal Szolo-
chow — Cichy Don, Eliza
Orzeszkowa — Nad Niem-
nem; Jarosław Iwaszkie-
wicz — Młyn nad Utratą
(za prawidłowe uznaliśmy
również — Młyn nad Lu-
tynią oraz Młyn nad Ka-
mionną). Nagrodę książkową
otrzymuje p. Barbara Pata-
long, Łódź, ul. Zacisze 4,
m. 6.

odpisy str. 11

TADEUSZ GIGIER



czy się komuś podobą, czy się nie podobą
proszę dać adres drukuje Gigier lub Dorota

Na górze róże

Niestety, układ tej piosenki zburzę,
niejeden bowiem ma fiołki — w górze.



Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Pra-
sa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56, tel.
241 79 • Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie
zł 12,- • Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca
• Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, li-
stosłone oraz PUPiK „Ruch” — z zamówieniem na „Ogłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 • Zam. 1395 V. L. 4



PEDAGOGIKA

Tysiące obywateli m. Łodzi otrzymało ostatnio i systematycznie otrzymywać będzie reprodukcję powyższej wesoła pocztówkę następującej treści:

Szanowna Pani

Z przykrością zawiadamiam, że dnia tego i tego, w miejscowości takiej i takiej mąż (syn, brat) Pani będąc w stanie nietrzeźwym prowadził samochód (ciężarowy, osobowy, motocykl) narażając siebie i przechodniów na śmierć lub kalectwo.

Dla dobra Waszej rodziny prosimy Panią o wywarcie wpływu, by postępowanie tego rodzaju uwłaczające jego godności i mogące spowodować nieszczęśliwy wypadek nie miało więcej miejsca.

Kierownik Inspektoratu
Ruchu Drogowego MO

Trudno przecenić skutki tej oryginalnej korespondencji, ale nie chcielibyśmy być w skórze mężów (braci, synów), na których „napuszcza się” przedstawicielki płci słabszej, dysponujące różnymi formami sankcji w stosunku do swoich „chłopów” (np. jeśli o żony chodzi — polecamy sposób Lizystraty).

Cytowany wzór pocztówki jest zresztą jednym z kilku stosowanych przez milicyjną służbę drogową. Opisywana praktyka świadczy dobrze o ewolucji stylu pracy organów MO: zasada tej ewolucji: mniej represji, więcej profilaktyki i pedagogiki.

POŚLIZG

Najpierw Jan P. założył łódzkiego IKR, Tadeusz M., w Łodzi prywatne przedsiębiorstwo „Wyroby Dzierżawskie i Pończosznice”. Potem dobrał kilku wspólników i w ciągu dwu lat na nielegalnym pośrednictwie w sprzedaży przedziśteelonej zbil ok. dwa miliony zł. Przedzie kupował za dolary w W-wie, a sprzedawał za złotówki w Łodzi i w Pabianicach. Cenna kupna wynosiła — 3 dolarów za 1 kg, cena sprzedaży od 1,5 tys. — 2 tys. zł za 1 kg. Wśród wspólników znalazł się m. in. inspektor na steelonie.

W czasie rewizji w domu jednego z ruchliwych wspólników p. H. MO zakwestionowała 466 par pończoch, ponad tysiąc chustek steelonych i jedwabnych. Od czasu afery „królowej steelonu” w Łodzi Alfredy Kopyckiej u której MO zabezpieczyła pieniądze na 1,5 mln. zł jest to drugi grubszy „poślizg” kom na 1 kg. Wśród wspólników znalazł się m. in. inspektor na steelonie.

W NOWEJ ROLI

9 lutego 1961 r. w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta” wydarzył się tragiczny w skutkach wypadek. 4 robotników biorących udział w eksperymentalnej produkcji wodorosiarczku sodu, poniosło śmierć, a kilkunastu innych uległo cięższym zranieniom.

Tuż po wypadku powołano komisję, która miała odstąpić kulisy tragedii oraz dostarczyć materiał dowodowy władzom prokuratorskim. W skład tej komisji wszedł między innymi naczelny inżynier „Boruty” Witold Gerlicz. On to właśnie poinformował dziennikarzy o przyczynach wypadku.

Jeszcze w tym miesiącu rozpocznie się proces osób odpowiedzialnych za skandaliczne zaniedbania w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy w tej fabryce. Tym razem jednak inż. Witold Gerlicz wystąpi w nowej roli. — Zasiądzie na ławie oskarżonych.

CZY SŁUSZNIE?

W Łodzi mamy jeszcze 40 procent mieszkań jednoizbowych. W praktyce oznacza to, że w 20 tysiącach mieszkań 1-izbowych mieszka po 2 i więcej osób. Mówiąc szczegółowo: w przeszło 10 tysiącach tego rodzaju mieszkań gnieździ się 4-9 osób.

W piwnicach i suterrenach, mieszka 1-100 rodzin. Jeśli dodać komórki, strychy i prymitywne przybudówki liczba rodzin wzrośnie do 4.100.

Aby w ciągu najbliższych lat przenieść tych ludzi do odpowiednich mieszkań, należy wybudować około 86 tys. nowych izb. Planujemy wybudowanie w pięciu latach około 80 tys. izb, resztę można uzyskać przez wzmożoną pracę i oszczędność.

Bada Narodowa m. Łodzi zamierza podjąć uchwałę aby raz na zawsze rozwiązać problem mieszkań jednoizbowych, to znaczy w polityce mieszkaniowej realizować wielką przeprowadzkę z piwnic, suterren i strychów. Odmawiać natomiast tym, którzy mają dobre, lub nawet tylko jakieś takie warunki mieszkaniowe, chcą je sobie poprawić.

Czy taka uchwała będzie słuszna? Naszym zdaniem — jak najbardziej słuszna.

KTO SIĘ RAZ WYMELDOWAŁ

Wychowanek Politechniki Łódzkiej p. Wacław Cieślak, wyjechał z naszego miasta na praktykę. Ożenił się, przyszył dzieci. Inżynier chciał wrócić do Łodzi, ale nie mógł. Kto się raz wymeldował, ten się na powrót zameldować nie może. Jest to jeden ze sposobów pozbywania się zdolnych ludzi. Okazało się, że sprawę powrotu p. Cieślaka mógł w naszym mieście załatwić i-szy sekretarz KL PZPR i rzeczywiście załatwił.

Fakt o tyle charakterystyczny, że w tym czasie zameldowało się bez trudu... kilkadziesiąt innych osób.

Luka

Inwalida — rencista posiadający na swym utrzymaniu niezdolną do pracy żonę lub dzieci, otrzymuje zasiłek rodzinny. W przypadku, gdy stan jego zdrowia o tyle się poprawił, że może podjąć jakąś lekką pracę — wtedy pozbawiony jest zasiłku rodzinnego i obowiązuje go (jak zdrowego, nowo przyjętego pracownika) okres wyczekiwania, tj. dopiero po trzech miesiącach pracy może otrzymać dodatek rodzinny.

Oddawna wskazywano na ten krzywdzący przepis. Na szczęście, teraz dopiero luka zostanie wypełniona.

Jak się dowiadujemy — naczelne władze ZUS pracują nad zmianą przepisu by inwalidów, podejmujących pracę, nie obowiązywał w sprawie zasiłku rodzinne go tzw. okres próbny.

Super

Dwa miesiące temu prasa łódzka z wielką radością oznajmiła otwarcie w naszym mieście pralni „Superekspressowej”, która na poczekaniu pierze i czyści garderobę.

Oczywiście za ową super szybkość klient płaci odpowiednio zwiększoną cenę. Wydawałoby się więc, że z usług pralni będą korzystać ci, którym się najbardziej spieszy. Tymczasem, jak się okazuje, 20 proc. klientów odbiera garderobę z 3-4 dniowym opóźnieniem. Ba, niektóre płaszcze oddane do prania w ubiegłym miesiącu, czekają jeszcze na swych właścicieli, którym się wcale nie spieszy mimo, że za pośpiech zapłacili. Ech, ci łodzianie, łodzianie...

ODGŁOSY

tygodnia



Komfort jak rzadko

(korespondencja własna „Odgłosów tygodnia” z Wrocławia)
Wrocław w maju

Nastąpiło tu otwarcie nowego, luksusowego lokalu użyteczności publicznej, wzniesionego kosztem 1,8 miliona złotych. Obszerny budynek parterowy położony jest w śródmieściu, blisko centrów nocnego życia Wrocławia.

Budynek mieści kilka sal noclegowych, z łózkami na stałe przysrubowanymi do podłogi. Bezpośrednio z każdej sali wiodą drzwi do w.c. Ponieważ niektórzy goście nawykli w tychże przybytkach przesadywać zbyt długo, często zasypiać lub nawet posuwać się do czynów samobójczych, wszystkie w.c. zostały zaopatrzone w dyskretne, wzierniki z korytarza. Wszystkie, z wyjątkiem jednego damskiego, bo z doświadczenia wiadomo już, że kobiety mają natury mniej desperackie.

Chlubą nowej instytucji jest wynalazek w postaci niewielkich kabin, wyposażonych w wygodne, kamienne fotele, tak skonstruowane, że trudno z nich wypaść. Powyżej na jednej ze ścian przymocowano przysznyc, który uruchamia się z zewnątrz kabiny.

Personel instytucji składa się z pięciu lekarzy oraz służby pomocniczej. Wyposażenie budynku dopełniają gabinety iekarskie, super-nowoczesna pralnia, magazyny itp.

Koszt noclegu wynosił w starej siedzibie instytucji 80 złotych, obecnie zaś skalkulowany został na zł 180.

W ten sposób Wrocław, bodaj jako pierwsze miasto w kraju, dorobił się komfortowej i funkcjonalnej — bo wzniesionej w oparciu o kilkuletnie doświadczenie izby wytrzeźwień. Należy sądzić, że dotychczasowy permanentny brak miejsc we wrocławskich hotelach będzie obecnie mniej dotkliwy dla przyjezdnych.

MONOPOL

Warunki pracy acypryproste: ukończenie 17 lat życia, 2 klasy szkoły podstawowej i dobry stan zdrowia. Te oto warunki uprawniają do ubiegania się o przyjęcie na kurs fryzjerski. Prowadzimy przez Ośrodek Szkolenia (ul. Zarzeńska 36/38) Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy. Koszt szkolenia pochodzi z budżetu tegoż Centralnego Związku.

Wiele dziewcząt pragnie wybrać zawód fryzjerski. Zdawałoby się, że nie ma siły na przeszkodzie dostania się na kurs, którego przeznaczeniem jest szkolenie młodych kadr. A właśnie jest przeszkoda i to nie byle jaka.

Kandydatka na kurs musi być skierowana przez spółdzielnię fryzjerską i to z gwarancją, że dana spółdzielnia zatrudni absolwentkę kursu. Jest to warunek zasadniczy, ponieważ ośrodek — jak kam oświadcza — wyucza kadry tylko i wyłącznie dla spółdzielni fryzjerskich.

Łódź posiada dwie spółdzielnie fryzjerskie: „Postępek” i „Zjednoczenie”. No i niech która z dziewcząt pragnących zdobyć zawód fryzjerski spróbuje dostać się tam na „uczennicę”. To bariera nie do przebycia. Wprawdzie są tam uczennice, ale kto je skierował do pracy? Jak nas poinformował Wydział Zatrudnienia — od lat nie zgłasza żadna z tych spółdzielni wolnych, wakuujących miejsc.

Nasunęła się pytanie — skąd rekrutują się kandydatki na kurs, którego ukończenie uprawnia do samodzielnej pracy w zawodzie? Czy nie mamy tu do czynienia ze swoistym bałakiem?

Odziedzina zawodu, w którym miała monopol wyłącznie spółdzielnia fryzjerska, decydując o sprawie nauki i pracy i to pod bojem Wydziału Zatrudnienia, nasunęła poważne rozważenie. W tej sytuacji dla wielu, pragnących zdobyć zawód fryzjerski, istnieje bariera nie do przebycia.

Dobrze się stało, że Wydział Zatrudnienia przystąpił do kontroli całokształtu tego państwa w państwie.

PIEKNE DZIEWCZĘTA NA LAMY „ODGŁOSÓW”.



Fot. W. Mianisko